



EX · LIBRIS



**ANTONIEGO
—BROSZA—**

**DAR
ANTONIEGO
BROSZA**

POMÓR

Antoni Brosz

WYDAWNICTWA AUTORÓW POLSKICH

:—: WYDANE PRZEZ „LEKTOR“ :—:

ASNYK ADAM: Panna Leokadja.

BOHOWITYN: Wydanie zbiorowe.

CONRAD (Korzeniowski Józef): Banita.

GELLA JAN: Rozmowy o miłości.

GRABIŃSKI STEFAN: Demon ruchu.

MAKAREWICZOWA JULIUSZOWA: Nowa Galatea.

NOWACZYŃSKI ADOLF: Bajki o księżniczce i kartach.

„ „ Facecje z Lodomerji.

OBRZUD STANISŁAW: Honor Karola Pęksy.

ORKAN WŁADYSŁAW: Pomór.

PRZYBYSZEWSKI STANISŁAW: Wydanie zbiorowe.

SROKOWSKI MIECZYŚLAW: Wydanie zbiorowe.

ZAPOLSKA GABRJELA: Wydanie zbiorowe.

ZBIERZCHOWSKI HENRYK: Djabelska przetęcz.

~~656~~

WŁADYSŁAW ORKAN

POMÓR

POWIEŚĆ



1875

WYDAŁ:

„LEKTOR“ INSTYTUT LITERACKI SP. Z OGR. ODP.

LWÓW — WARSZAWA — POZNAŃ — KRAKÓW — LUBLIN

1923

Nr. **3730** SKŁADY GŁÓWNE:

— — —
WE LWOWIE:

„Lektor“, Mikołaja 23
(d. własny) T. 525

— — —
W WARSZAWIE:

„Lektor“, Sienkiewicza 5
Tel. 253 - 99

— — —
W POZNANIU:

„Lektor“, Ratajczaka 33
Tel. 39 - 23

— — —
W KRAKOWIE:

„Lektor“, Rynek gł. 22

— — —
W LUBLINIE:

„Lektor“, Szopena 5

Złe roki.

Było to w czasie, kiedy Pomsta przeszła po dworach i ostawiła za sobą: powytłukane okna, porozbijane sprzęty, pootwierane stodoły, a gdzie niegdzie spaliska albo trupy. Strach było patrzeć na to zniszczenie okrutne. Widziało się: jakiś duch zatraty dmuchnął piekielną siarką po pałacach. I nie było jednego dworu: na znanym obszarze kraju, któryby od tej podmuchy ocalał. Wszystkie stały, jeśli nie rozwalone, w zaniszczeniu — i podawały czoła do upadku. Gdzie niegdzie mur jeno sterczał albo komin wysoki nad ziemią, a reszta się już rozsypała i zalegała miejsce pokoi dawnych kupą gruzów. Tu i ówdzie jeszcze pałac się odzierżył, ale powywalane drzwi i powybijane okna świadczyły dość wyraźnie, że ludzi w nim niema. I stały te pałace w opuszczeniu smutnem, patrzyły ku wsiom swoim otworami okien — skąd dawniej szły strach i groza, teraz wiała pustka... Stały, jak te grobowce ludzkiej pychy, po których wojna przeszła i łupieżcy rozwalili je, aby wydobyć bogactwa na trupach zachowane.

Były tam bogactwa, były — ale nikt ich z ludzi nie widział... I nie wiadomo, gdzie się podziały. Tak,

jakby w ziemię wsiąkły... Bo i panowie ich nie zdołali unieść — i w chałupach ich nie widać było. Ba! W chałupach... sto razy przykrzejsza nędza zagnieżdżyła się, niż przedtem.

Nastały roki złe...

Zaraz w pierwszym lecie po rabunku, zboża pochyły na polach, a gdy nadeszły żniwa, to nie było wyraźnie co zbierać. A ludzie wsiali na wiesnę więcej, niż po insze roki; bo choć niejeden nie miał na tyle w sąsiedku, to podczas rabunku przybrał z pańskiego gumna i wsiał sporo. Ale, widać, pańskiemu zbożu nie udało się na chłopskich gruntach, nie chciało nijak urósć, a jeszcze przykładem swoim popsuło to insze, cò już było zwyczajone do jałowej ziemi, albo też, kto wie — może taki czas był, taka kara. Bo co się to zboża naosypało podczas rabunku po drogach! Deptano po niem, ljak po piasku. Pan Bóg musiał i to widzieć... To też zapłaciło się przy żniwach. Nie było co zbierać. A skoro przyszło do omłocki, to nie było cò i widzieć... Mało co ziarenek się dostało, a i te nikły w oczach prawie; w żadnem nie było duszy. Na dopłatek ziemniaki poczęły się psuć po zagonach, i gdy nadeszło kopanie — z połowę blisko okazało się zgniłych, reszta drobiazg, nie większy od przepiórczych jaj. To była wszystka żywność, jaką naród na zimę z pól zebrał. Poczęły się też dni przesmutne, po których ludzie, jak po urwisku pochyłym staczali się w przepaść nędzy coraz to czarniejszą...

Tak się poczęły złe roki.

Z początku ludzie jeszcze się jakoś krzepili, jeszcze się ratowali w tej nadziei, że Bóg zwróci na ziemię litościwe oczy, i że ta nędza się skończy. Ale skoro następny rok jeszcze większy przyniósł nieurodzaj, skoro ludzie nie prawie nie zebrali z pól, wtedy już potracili ostatnią nadzieję, i każdy stał się w sercu gorszym, na swoją i drugich przyszłość z rozpaczą zobojętniałym.

Wtedy to zdarzyło się, iż niejedyn samotny człek ostawił wiatrom ojcowiznę swoją i poszedł we świat daleki, a zdarzyło się znowu, iż paru zasobniejszych, co mieli jeszcze ziarno z roków urodzaju, ponabywało grunta całe za parę korców zboża — ziemi nikt nie cenił, odkąd przestała rodzić. Tak, jak żeby zły urok szatan na nią rzucił. Co kto wsiął — nie urosło, co kto wsadził — zgniło. Przyszło kopanie, to kilkoro cały dzień boży kopało, a na wieczór nie mieli co w koszykach nieść. I różnie ludzie dumali w swoich mętnych głowach. Plątała się nawet bajka o jezuitach, którzy mieli na złość światu ziemniakom pogrzeb sprawić, i przez to się ziemniaki psuły. Byli tacy, co temu dawali wiarę, bo się już rozum pomieszał doznaku, i niewiadomo było, kogo winić. Ale też byli i tacy, co się w sumieniach swoich rachowali i pozierali ze skruchą ku niebu; czuli w sercach, za co ta kara przyszła, i nie śmieli na głos wołać o zmiłowanie.

Już trzeci rok się zaczął tej pokuty ciężkiej, już — widziało się — nic cięższego przywalić nie może, a tu jeszcze straszniejsze fale się zbliżały, jeszcze gorsze dla ludzi nawały i klęski...

Żywo ich widzę, jak obsiedli miskę i posilają się w milczeniu. Dzieci, które pomniejsze, na ziemi stoją przy stole i na palcach się podnoszą, aby dojrzeć na miskę przez krawędź. Dwoje ich takich niewysokich; niedużo starszy od nich chłopiec już daje sobie radę, siedząc, i je podług obyczaju. Czwarte, nieletnie jeszcze, na rękę dzierży matka, choć nie każdyby powiedział, że to matka tych czworga człowieczą, tak jej postaci jeszcze dziewczęcość się trzyma. Jeny z twarzy przybielałej i z oczów ogromnie smutnych widnieją matczyne troski. Dzierży to małe na rękę i karmi je z łyżki, żując mu w ustach swoich twardawe ziemniaki. Widać wyraźnie walkę, którą toczy w sercu, by nie połknąć pożutej strawy, jak głód radzi. Zdaje się osłabionej, że zdrowie w ustach trzyma, wszystkie włókna jej ciała go pragną, a przecie się przewycięża i zwraca je dziecku. Podobną walkę toczy w sercu swem i ociec, młody jeszcze gazda, siedzący naprzeciwko, opodal na ławie; umyślnie się tak odsunął, aby oczy ochronić od pokus; onby to wszystko warzywo za jednym połykiem wchłonął i jeszczeby się obejrzał za dalszem — wnętrzości mu, jak psy głodne, wyją o posiłek — a tu poziera: — dzieci z wytrzeszczonymi oczami nachylają się nad krawędź miski... — i, choć go głód popycha, nie daje się znaglić, ale pomału, z rzadka bardzo wyciąga rękę ku stołowi. Po każdej łyżce strawy długo się namyśla i oczami głaska włosy

zajętych jedzeniem dzieci, jakby chciał mówić: „Jedzcie, ja wam ta niedużo ujmę...”

Prócz tej młodej rodziny znajdowała się w izbie dziewczyna, wzrostem dobiegająca gospodyni i może lat kilka jeno od niej młodsza. Ta stała przy nalepie w smutnawem zamyśleniu. Zresztą nikogo więcej w chałupie — i cicho — słychać było jeno zrzadka stuk łyżek drewnianych o brzeg miski.

Młody gazda, jak się rzekło, mało się jedzeniem trudził, dumał se różnie w przestankach, abo i zgoła bez myśli oczami po izbie włóczył. Aże się mu wzrok oparł o stojącą przy piecu dziewczynę.

— Czemu ty, Salka, nie śniadasz?

Dziewczyna drgnęła, pytaniem niespodziewanem zaskoczona i, siląc się widocznie na głos swobodny, odrzekła:

— Ja już po śniadaniu.

— Kiedy? Kto cię widział, jakieś śniadała?

— Bratowa widzieli: piekłach ziemniaki...

— Prawda to, Tekla? — zwrócił się do żony.

— Jakże! Ona by też o sobie naprzódy myślała!

— Piekłach przecie...

— Dla kogo?

Salka takimi proszącymi oczami spojrzała na Teklę, że ta już nie miała siły dokończyć myśli poczętej.

Gazda, mimo to, zmiarkował już coś poza słowy, bo zagadnął obie razem:

— Co to za tajemnice chowacie przede mną?

Ale ani ciekaw był, ani czekał ich odpowiedzi.

Grało mu insze poza uszy. Położył łyżkę, przeżegnał się i począł szukać kapelusza.

— Trza wyrzeć na świat... czy sie nie robi jaka wiesna... Widziało sie wczora, że sie odciepliło. Może przecie słońko sie zlituje...

Ukręciwszy się po izbie, wyszedł.

Dzieci przyciągnęły miskę na kraj stołu i dochli-pywały resztę ostałego mleka; przytem każde starało się ku swojej stronie miskę schylić, o co swar był między niemi i bratnia niezgoda.

Tekla, stawiając na ławce dziecko przy sobie, zwróciła się w stronę pieca i spotkała się wzrokiem z oczyma dziewczyny, której jeszcze dotąd z twarzy rumieniec nie zeszedł.

— Oj, Salka, Salka! — poczęła z uśmiechem, ki-wając głową litośnie.

Dziewczyna spuściła oczy.

— Widzisz, byłoby się wykryło przed Łukaszem... Choć może on i wie...

— Skądby wiedział? Nie mówcie mu, bo mógłby sie gniewać. Pomyślałby, że i więcej co wynoszę z domu...

— Tegoby zaś nie pomyślał. Ale byłoby mu mar-kotno, bo nie rad na Tomka...

— Mamo! — począł się skarżyć starszy chłopiec — Anielka z Walusiem zabrali przed siebie miskę i nie dadzą mi dośniadać...

— Połóż już łyżkę, Józus. Widzisz, tyś starszy, to im trza ustąpić.

— Ale oni mniejsi, to se mogą prędzej pojeść.

A ja już z tatą na wiesnę będę orał, to muszę dużo jeść, cobych miał siłę...

Usłuchnął jednak i położył łyżkę. Tekla zwróciła się znów do Salki:

— Ja cię też zato nie pochwałę, choć wiem, że to z dobrego serca robisz. Bo i któż widział tak dobrowolnie się przygłodzać? Onby ci zaś nie przyniósł i nie dał, możesz być pewna. Nie wiem, jakie on ma pomyślenie...

— Moiściewy, już też nie gadajcie...

— Jakże, mojaśty, nie mam gadać, kiedy mi o ciebie idzie. Uchniesz doznaku, jak tak bedziesz robić.

— E, co ta o mnie!

— Też to, że siebie zawdy stawiasz na ostatku...

— Albo i wy tak nie robicie? Naprzódy dzieciom, Łukaszowi, a potem dopiero sobie...

— To, widzisz, dzieci co inszego... chłop też... bo jakże... No ale... Ja wiem, że i ty go lubisz... Ale to przecie nie obowięzek twój tak dbać o niego... i nawet grzech... Kiedyś dałach ci placku, toś nie zjadła, inoś zanieśła Tomkowi. Żeby to jaki żebrak... ale gospodarski syn! I nie wiem, jakie on ma sumienie... Wie przecie, że sobie od ust odejmujesz, i że tu u nas już ostatnia bieda...

Salce łzy stanęły w oczach.

— Moi kochani, już też nie gadajcie.

— I jakże nie mam gadać, skoro mnie to gorzy, jak pomyśle... Taki chłop i, Panie święty, od takiej mizeroty będzie skrzepienia wyzierał?

Salka broniła się przez chwilę płaczowi, póki go

nie przemogła, i wreszcie na obronę postępu swojego rzekła jedyne, ciche słowa:

— Oni tam nic nie mają do jedzenia...

— Przecie pono jeszcze mają ziemniaki w piwnicy.

— Jeżeli mają jaką szczyptę, to ochraniają do sadzenia...

— No, to ono nam nie tak ostatnio, skoro jeszcze ochraniać mogą. U nas gorzej...

I poczęła w zasepieniu przechodzić myślą gospodarstwo swoje, a Salka, widząc turbację w jej oczach, zamilkła, i równym smutkiem twarz jej się oblekła.

Dzieci tymczasem skończyły śniadanie i teraz z głośną kłótnią spychały się z ławy; każde chciało być najbliżej okna, by móc wyzierać na osiedle. A że matka musiała wmieszać się między nie słowami karzącymi. Poczem znowu zwróciła się do Salki.

— Zapal-że na nalepie i zestrój se jakie śniadanie.

— Ja nie głodna, wierzcie mi...

Tekla popatrzyła na nią wzrokiem, w którym przez udane zagniewanie przebijała się tkliwość serdeczna.

— No i cóż z tobą pocznę?

— Najlepiej wypędźcie z chałupy.

— Musiałabych takie sumienie mieć, jak Danajka. Obie się uśmiechnęły.

— U nich tam ciągnęła niezgoda — rzekła, smutniejąc pomału, Salka.

— Dyć sie Jantaszek wyskarżyć nie może. I na Tomka sie dość żali...

— Coż Tomek winien, że taką ma matkę? On sam staje po stronie ojczyzna...

Wszedł Łukasz. Przerwały rozmowę, bo z twarzy jego zobaczyły, że go coś niemało zgryzło. Usiadł ciężko na ławie i zgnębionym głosem począł:

— Haw na okole pustki... Słomy niema jeno na naręcze. Tych parę brzemion barłogu jakby sie namziatało... Nie wiem, czem sie ta krowa dożywi do wiesny. Dość, że jedna jeno jest, bo resztę te roki zjadły, to i tę ostatnią trza bedzie wywieść z obory. No, ale sprzedać — ktoż kupi? A zresztą, cóż z tych pieniędzy, choćby sie za nią dostało? Dyć są pieniądze w skrzyni... Zabić znowu — coż zabić? Tych gnatów trochę, skórą obleczonych? Tak źle — i tak niedobrze. Ta kapka mleka koniecznie potrzebna. A to na okole pustki... I wiesna sie nijaka nie robi...

Pochylił się, turbacją ciężką przygnieciony, i oczy utkwiał w ziemię w tępem zapatrzeniu. A obie niewiasty młode nie śmiały oddychać głośno, by mu nie przybaczyć swoją obecnością jakiegoś nowego strapienia i nie wywołać przez to nowej trwogi. Ocknął się jednak sam i, zwracając oczy cierpieniem gorzkie w stronę żony, podniósł głos:

— Powiadałech, że trza ziemniaki ochraniać. Przydałyby sie, jak mleka nie bedzie...

— Nie było co ochraniać — szepnęła Tekla.

— Ale wy — ciągnął, nie zważając na jej słowa — na jutro nie patrzycie. Co jest, to zgotować odrazu, a potem niech będzie, co chce — taki wasz rozum.

Potrzebno i teraz okrawki psuć, kiedy mąką by się jeszcze odeгнаło?

— Ty sam... — poczęła Tekla, ale nie mogła dokończyć, taka ją żałość po sercu obieęła.

On jednak wiedział, co chciała powiedzieć, i wiedział, że miała słusność. On rzeczywiście sam namawiał, by choć na smak okrawków zwarzyła, bo się mu zecnąć na owsianem chciało. To też, chcąc niesprawiedliwość swoją pokryć albo choć złagodzić, dużo wyrozumiałej już kończył:

— Bez ziemniaka się cnie, prawda, bo się człek przez długie lata wezwyczaił. To jedyny dar boży, co się nie przyje, choćbyś go i najczęściej pożywał. Nie dziwota, że w tych rokach, kiedy Bóg poskapił, ludzie za ziemniakami strasznie upaują. Chwała Bogu, że my tę szczyptę ugrzebli, bo mogli my nic nie ukopać, jak wielu. I choć na smak, to było. Ale teraz trza mocno o tem dumać, żeby co wsadzić. Okrawków, widzę, nie-dużo ostało — jak się i te zje, coź będzie? A może nadejść jeszcze gorszy czas...

— Boże, zachowajże też! — szepnęły obie niewiasty, podnosząc oczy ku górze.

— Powiadają, że się niema czego dobrego spodziewać. Dyć już trzeci rok — miała czas bieda na kość uschnąć abo się zabrać kany we świat, a ona się nie usuwa, ani nie myśli nijak miertwieć, ale się panoszy wokół, jak to złe ziele, któremu odetnij korney, to mu trzy odrosną. Wszystko ku czemuś straszniemu idzie... Ja już nie wiem, czy ludzi tacy źli, czy Bóg taki nielitościwy...

— Nie gadaj-że też tak...

— Rozum się w głowie przewraca, kiedy człek o tem pomyśli. A tu jak nie myśleć? Powiedz... Wszystko się naraz gromadzi i robi taki ścisk, że nie sposób znaleźć furtki, którąby dusza mogła uciec w jaki kąt cichy, choć na niedużą chwilę. Żeby to człowiek sam był, to już jakby padło, tak by się musiało przyjąć. I śmierć samemu nie okrutna. Ale w takim owikłaniu...

Tekla poczęła cicho płakać. I Salka, widząc jej łzy, po licach spadające na głowę dziecka śpiącego na podółku, również nie mogła łez w oczach zatrzymać. A Łukasz mało i uważał na nie, mówił jakoby do siebie, a raczej jakby z kimś nieobecnym gwarzył i za niego odpowiadał sobie:

— To już teraz tak ciężko, że się widzi: nijako nie może być ciężej — a jak też przyjdzie czas gorszy? Coż wtedy człowiek powie o dzisiejszym? Coż się dziś mówi o roku łośkim abo i zaprzeszłym? I wtedy ludzie wyzierali końca jakiego, a nie nadszedł... Nędza niema dna, ani skończenia...

I jakby sam myślą począł osuwać się gdzieś w przepaść, jakby już nad czeluścią stanął, wzdrygnął się i szepnął z trwogą:

— Co to będzie... Jezusie, ratuj!...

Niewiasty łzy otarły, patrzyły teraz suchemi oczyma przed się, jakby i one tę otchłań widziały, o której nikto wyraźnie nie mówił, a wszystkim się zdawało przecie, że ktoś mówił.

I wszystkich trwoga ogarnęła. Siedzieli bez poru-

szeń, w bezradnem zastanowieniu. Dzieci nawet, widząc trwożący ich dusze wyraz w twarzy rodziców, pomilkły i stały w cichości wielkiej, bojąc się ruszyć; oczy im tylko chodziły dokoła, pełne nieśmiałych pytań.

Po izbie przeszło widmo czarne — i na dusze od niego padł cień. Pociemniał świat ich oczom, jak przy zaćmieniu słońca, gdy serca ludzkie lęk przeraża, czy to już koniec świata się przybliży... I tak się ta rodzina grążyła w strapienie czarne, jak pogrąża się w noc ciemną skupiona gromadka drzew na pustem polu. Widziało się: czuwają, bo oczy wszystkie otwarte, a sen ich jakiś ciężki tak na jawie przysiadł.

Było zajrzeć do tej izby przed trzema rokami... Wesołość grzała się w słońcu na środku podłogi, a bogactwo nie chowane rozpierało się po kątach. Łukasz Jamróż miał podostatkiem wszystkiego. W oborze sporo żywności, na okole potrawy po banty, w sąsiedkach zboża okopisto, a w skrzyni złote „cwancygiery“ nieruszane od czasu, jak je tam nieboszczykowie ojcowie schowali. I wszystko mu się podarzało. Żonę wziął do swojej woli, i chociaż mu ta wiana dużego nie wniosła, to zaś umiała swoją zapobiegliwością przysporzyć dobra chałupnego. Niemałą też pomocą i wesołością w domu była mu Salka, rodziców jego wychowanka, którą przywykł był uważać za siostrę swoją rodzoną, i ona też go bratem nazywała. Wszystko troje mieli co robić na tem gospodarstwie, bo gruntu było dużo. Łukasz bowiem dzierżył z ojców pół Jamrozowej zagrody; sąsiedzi jego osiedlowi, Ga-

bryś i Jantaszek, mieli drugie pół — po czwarcźnie; ich bieda mogła napastować. Nieraz dało się usłyszeć, jak uskarżywszy się pomiędzy sobą, gdy gwara zesłała na sąsiada, powiada jeden do drugiego: — „Coż Łukaszowi? Jego sie bieda nie tknie. Nie ma śmiałości przystąpić z żadnej żywej strony“. — „Ba! Skądby śmiała? Grunt odpowiedzialny, statku Pan Bóg mu nagadza; przytem chłop młody, da se radę, babę se też upatrzył do swojej upodoby...“ — „Dyć już o lepszą trudno, moiściwy, taka już chłopu majątku nie ujmie“. — „Jednemu Bóg nagodzi...“ — wzdycha ciężkawo Jantaszek, myśląc pocichu o swojej Danajce. I tak mu ludzie zazdrościli. Bo oczywiście było widno, że mu niczego nie brak było, jeno chyba dzieci sporo, któreby miały co trwonić. A i dzieci Bóg przysporzył, właśnie na złe roki...

I teraz oto ta rodzina, jak rodzina sarn wśród zaspów śnieżnych, w tej izbie białej trwogą zaskoczona, „Uda-li sie z pod śniegu dobyć pożywienie?“ — Albo: „Uda-li sie wykopać na jaką przestrzeń widniejszą?“ Tak pewnie myśli rogacz, śmiertelną obawą o życie swoich miotany. Tak przedumuje i Łukasz na ławie, szukając w rozumie swoim sposobów ostatnich. I nijak ich nie może znaleźć. A niewiasty, doznaku jak owe siutki lęklive: to pozierają z otuchą na niego, czy nie dojrzą w jego oczach jakiego ratunku, to znowu spuszczaają głowy i patrzą przed się oczami nieruchomemi, pełne gotowej ofiarności w sercach i bezradnego smutku.

Dzieciom się wnet ucnęło to ciężkie milczenie —

nie mogły nijak cicho długo wybyć — poczęły z początku szeptać między sobą, a potem podnosić głosy przy rozgwarze.

— Wnet będzie obiad...

— Ale! Wnet! Dopiero śródpołudnie...

— Słonko już przy nalepie. Jak dojdzie do skrzyni, to będzie południe...

— A zaś nie! Jak dojdzie do łóżka, to dopiero wtedy będzie południe...

— No, to się załóżmy!

— No, załóżmy się... O co?

Długie dumanie.

— Widzisz, nie masz się o co założyć...

— A ty też nie masz.

Do rozmowy Walka i Anielki wmieszał się najstarszy Józek.

— Cóż z tego, że będzie południe, skoro mama nie będą obiadu gotować...

— Juści! Ty wiesz, że nie będą! Myślisz, że ci kto uwierzy? Jakżeby my wybyli do wieczora?

— A nie wiecie, jak wczora tata powiedzieli, że trza obiadu nie gotować...

Anielka głos podniosła w płaczu:

— Mamo! Bo Józek gada...

Ale nie dokończyła, jeno płaczem się załknęła, spotkawszy surowe spojrzenie ojca, i umilkła. — Za chwilę już wesołość była między nimi, gwar się na nowo wszczynał...

— Co ty najbardziej wolisz?

— Kluski ziemniaczane.

— A ja zaś wolę ziemniaki pieczone...

— A ja zaś wolę placek...

— Ja też placek! Ale nie owsiany... — rzekł z dumą Józek.

— Jakież to nie owsiany? — spytała nieśmiało Anielka.

— Ty nie pamiętasz, boś ty wtedy jeszcze mała była, jak my mieli dużo jęczmienia i orkisz...

— Ja wiem! — zawołał radośnie Walek. — Mama raz przynieśli...

— Będziecie wy raz cicho! — krzyknął ojciec. — Bo jak wstanę...

Dzieci, złękłe gniewem ojca, naraz ucichły. Matka popatrzyła na nie i żal ich się jej zrobiło. A miała jeszcze do Łukasza urazę w sercu za słowa, któremi ją poprzednio skrzywdził. Więc się zwróciła do niego z wyrzutem:

— E o coż się ty na nie ciskasz? Coż one takiego robią?

— Tak wiecznie dzwonią poza uszy.

— Zwyczajnie, jak dzieci...

Łukasz nic nato nie odrzekł. Patrzył po izbie oczami gniewnymi.

— A ty, Salka, co tak siedzisz?

— Znowu cię Salka uraża? Przecie ta ci nie dzwoni poza uszy...

— E! bo tak spuszczaście głowy, jakby już pod śmierć. Ja sam dość mam strapienia, to co wy jeszcze przydajecie tym niepotrzebnym smutkiem?

— Pociskujesz się, sam nie wiesz o co i na kogo.

Bieda, to darmo, to kto temu winien... Trza Panu Bogu wszystko ofiarować...

— No, już wiem, wiem, co powiesz — przerwał niecierpliwie. Wstał z ławy i przeszedł się po izbie. Wreszcie, podumawszy chwilę, wziął serdaczynę z kołka, zaodział się i wyszedł, nie mówiąc słowa do nikogo.

Tekli po wyjściu Łukasza znów łyzy się cisnęły z oczu, i ledwo ją Salka zdołała uprosić, że się ustawiła w płaczu.

— Jemu sie nie macie co dziwić, — mówiła w końcu — że sie takim urażnym stał, i że go tak wszystko gniewa, na czem jeno myśl zeprze... Bo jakże sie nie bedzie ciskał, skoro go tak strapienie ustawicznie przesładuje i ani na krok nie opuści. To sam nie wie, co go drażni. I wyrywa sie, jak dłoniom zmory...

— Ja wiem. W domu wszystko mu przed oczy zachodzi. Chce to stracić choć na chwilę — idzie między ludzi — szuka jakiego rozerwania... Ale tam sie gorszej biedzie napatrzy... Czy ja nie wiem? Wróci taki przygnębiony, że go ani poznać.

— Oj, bo tak. Teraz u ludzi jeden zgrzyt...

— I czemże sie rozerwie? Powiedz...

— Ale choć czas zły minie...

— Minie jeden, te nadejdzie drugi. I człek przed czasem sie nie schowa, choćby w mysią norę wlaźł, to darmo.

Wzięła polekku dziecko, które jej usnęło na podółku, i zanieśła je do kołyski. Przebudziło się, gdy je kładła i zaczęło płakać. Ale je wnet nuceniem

głośnem uciszyła — z wolna przy kołysaniu równem usypiało.

I nie nie słychać było w izbie, prócz oddechów i miarowego toczenia się kolistych odnóż kołyski.

Przez szyby słońce wdzierało się i malowało białe okno na szarej podłodze. To okno pomykało się niepostrzeżenie, aż i doszło na środek podłogi.

Nastało południe białe i uroczyste, jak święto; w izbie też zapanowała teraz święta cisza.

Nagle w tę ciszą wpadły z osiedla dwa głosy:

— Wyga?

— Nie wyga!

Niby hasło krótkie i odzew umówiony, jak przy jakiej straży. Tekla podniosła głowę z nad kołyski, przy której klęczała dotąd i spojrzała na Salkę:

— Któż to tak?

— Gabryś z Tomkiem. Nie wiecie? Dokończają okół Jantaszkwowi.

— Nie wiedziałyście nic o tem. Choć ich słychać było. Myślałyście, że ta co rąbią koło chałup... Ale jakże on sie Jantaszek odważył na to kończenie? Kiedy on to zaczął stawiać! Przed dwoma rokami! I nijak sie nie mógł wspomóc, aż dopiero w tym czasie najgorszym...

— To tak było... Bo mi Tomek opowiadał skraja. Gabryś majstrował u ludzi, dopokąd sie dało. Ale teraz nikt nie myśli o budowaniu. Choćby kto chałupę miał niedokończoną, to woli na boisku siedzieć, a majstrów nie pytać, bo im trza dać jeść.

— O dyc o tem wiem.

— I trafiło mu się w paru miejscach, że go ze zrębu zegnali. Bo przyszedł, wylazł na zrąb i gwałtem parł się do roboty, aby go jeno żywili. A ci nie wiedzieli: czy mu dziękować za jego dobrą ochotę, czy go z djabłami odprawić. Prosimi go o przestanie, wreszcie i poklęli. Widzi... sąsiadów okół stoi nieskończony — wziął siekiere i chycił się, ani go nikt nie pytał...

— I któż go żywi?

— Czy ja wiem. Pewnie sam się żywi, bo przecie oni nie mają... Tomek wychodzi ku niemu i pomaga mu jak umie; i tak inszego nie ma do roboty, a czas się prędzej pomknie.

— Dobrze, że już raz ten okół skończą — zaczęła po chwili Tekla — bo taki ten zrąb był nieprzyjemny oczom, że się ani patrzeć w tamtą stronę nie chciał. Tak na uboczu, za osiedlem — zawdy to miejsce tam było obdziorne. Tak ten zrąb wyglądał, jak opuszczona kostnica przy jakim starym smentarzu, z której wiatr zerwał dach i powywalał drzwi. Kiedy mi padło tamtędy iść zmrokiem po wodę, to mi się zdawało zawdy — wiesz co?... że tam śmierć skryta siedzi i patrzy łakomemi oczami w osiedle przez czarny otwór boiska.

— Nie gadajcież...

— No, naprawdę, tak mi się zdawało.

Umilkły. Niezadługo doleciało z pola:

— Wyga?

— Wyga!

I cisza nastąpiła znowu.

— Cóż oni tak po cygańsku mówią? — ozwała się Tekla.

— Tak pewnie dla ozrywki. Bo sie im ta cnać musi. Dzień coraz to dłuższy.

— A kiedyż będzie obiad? — zbaczyła mała Anielka.

— Mamo! — Przyłączył się i Waluś.

— Bedzie, bedzie wnet, jak ino słońko sie skryje...

— A cóż to słońko wadzi?

— Dużo wadzi bo nie da wieczorowi nadejść.

— To aże wieczór? O jej! — poczęło się labiedzenie i na pół płacz, co jednak prędko ustało, bo do izby wszedł człek obcy. Dzieci poczęły mu się przyzierać ciekawie i szły za nim oczami z trwogą, gdy się ku matce przybliżał, niespokojnie przyzierały się z boku, gdy mu matka garść mąki z dzieży udzielała, a potem już bezpiecznemi spojrzeniami odprowadzały go do drzwi i przez okno jeszcze za osiedle.

— Hej! Boże! — westchnęła Salka.

— Mamo! Kto to? Dziadek? — dopytywała Anielka.

— Taki duży i nie umie robić, ani pacierza nie umie — mówił Józek.

— Proś Boga! — upomniała matka. — Bo człowiek nigdy nie wie, na co może przyjść, na jaką nędzę...

— Jaby do ludzi poszedł i robiłbych, toby mi jeść dali.

— A jakby też nie dali?

— To... tobych sie wrócił.

— Oj, dziecko, dziecko! — z politowaniem serdecznem poczęła, ale nie miała czasu dalej mu tłumaczyć, bo się poczęły gęste odwiedziny.

Osiedle ich, Jamrozowe, było zdała od wsi, wyżej — to żebracy, przeszedłszy wieś, dochodzili tu właśnie w południe. Szli różni, różnego wieku; jedni mieli ułożenie istnych od lat dziadów, drugich — widać po nich było — dopiero bieda co z gruntu wyważyła i pchnęła na chałupy; ci nieśmiało wchodzili i oczami martwemi już z przebytych cierpień, opowiadali historje swoje. Tekli się serce ścisnęło okrutnie — często ujrzała znajome oblicze gazdy znacznego dawniej lub gaździny — nie śmiała słowem łagodnem zapytać, jak do tej nędzy ostatecznej doszli, bała się nawet, by w oczach jej tego pytania nie dostrzegli. I wstyd ją nieraz obiegał płomieniem, że ona jeszcze ma jakie takie dobro, a ci zebrzą. I często wprost nie śmiała dać tej garści mąki, widziało jej się, że to krzywda i niesprawiedliwość, żeby ona całą dzieżkę miała, gdy ci nie mają nic — a tu jak po więcej dawać, kiedyby na dzień nie starczyło? — i wtedy zwracała się do Salki, niby czemś zajęta:

— Daj ty, mojaśty, bo ja nie mam czasu.

I odwracała twarz od przychodzących, aby nie spotkać oczów, nieraz tak rozpacznych, że wić się z żalu...

Koło śródwieczerz ustała ta procesja przesmutna. I widziało się, że się powała podniosła, jak się stała wolniej po tej chmurze, która nad duszami przeszła; prostowały się, jak źdźbła po ulewie, jeno im ciężyły

jeszcze krwawe łzy litości, jak ciężą kłosom krople deszczu, przez wiatr niestrzepane. Ale dużo lżej się stało.

Najsmutniejsze godziny dnia przeszły. Trwożyła się ich zawdy Tekla, bo raz, że ujmowały jej szczupłe ostatki — a wtóre, niosły z sobą tyle bolesnych świadectw życia, że mogły duszę, tonącą już w trwodze, na śmierć rozpaczłą beznadzieją otruć...

Przecie minęły. Co zostało z nich obcości w izbie, to czas następny połknął, i dzieci rozgwarem swym czasowi pomogły...

Przyszła im znowu pamięć o obiedzie. Ledwo je matka zdołała ulegować obietnicą świętą, że na wieczere dostaną to, co miały dostać na obiad.

Salka poczęła się za nimi wstawiać.

— Ja zapalę, to im się zwarzy co wcześniej.

— Gniewałby się, jak wróci. I tak dziś mąki ubyło sporo. Mnie samej tak ich żal, że powiedziec się nie da, a co będę biedna robić? Darmo. Trza się na gorsze sposobić. Potem dzień dłuższy nastanie — cóż począć, jakby brakło tego ostatka, broń Boże! Już nawet myśleć się boję... Teraz ta jeszcze mogą wytrwać. I w jesieni się zazwyczaj dwa razy na dzień gotuje...

— Ale też dzień dużo mniejszy, i owocem się zawróżą...

— Że też ty o sobie nie wspomnisz nawet przez omyłkę! A za dziećmi się ujmujesz...

— Bo cóż ja? Coż mi się haw dzieje? Śmiechby był, żebych się sobą trapiła...

Dzieci uspokojone przyrzeczeniem matki, już się przestały naprzykrzać; to tylko Waluś i Anielka, bo Józek w mniemaniu swem za duży był nato, aby się miał o obiad głośno dopominać. Teraz im obojgu powtarzał z przechwałą:

— Aha! Nie na moje wyszło?

— Nie na twoje!

— Obiadu nie będzie...

— A zaś będzie na wieczerzę.

— To będzie wieczerza, a nie obiad,

— Co ty wiesz! Przecie mama powiedzieli...

I poczęła się kłótnia, w której po jednej stronie stał Józek ze swoją mądrością, po drugiej Walek i Anielka ze swoimi mocnymi głosami; bo się oboje zawdy wspomagali. Józek w końcu, chcąc nie chcąc, musiał im ustąpić. Najzwyczajniej rozstrzygał kłótnię płacz Anielki i uciezka jej o pomoc do mamy. Tym razem jednak obeszło się bez płaczu i skargi, bo Józek się niedługo upierał przy swoim, jako że sam wolałby jeść obiad na obiad, niż na wieczerzę.

Znowu zaległa cisza, bo i niewiasty urwały rozmowę. I tak się działo doznaku w tej izbie, jak w zachyleniu górskiem. Duchnie wiater zniecka, porozchwiewa drzewa, widzi się: nie ustanie rozgwar zapoczęty — a tu się nagle urywa, rozprasza się w szmerze, i cisza taka nastaje, jak w martwym bezwietrzu. I znowu szum się rodzi...

Salka się podniosła z ławy, oczami zmęczonemi spojrzała na Teklę.

— Dyć mi każcie co robić, bo tak czas uchodzi...

— Weź książkę i czytaj głośno. Usłyszę i ja co z tego, choć po prawdzie, taki rozum zmacony, że sie człek ani w modlitwie nie cieszy...

— To coż chcecie bych robiła?

— Skrob ziemniaki... Nie, prawda! Jaka ja całkiem zatracona... Cożby ci tu doradzić... Widać, że już i robić niema co na tem gospodarstwie. Dawniej był len — przedło sie... Było ziarno na utarcie... Była żywna jakaś... Człek nie miał czasu i spocząć. I ktoby był pomyślał, że przyjdzie czas, kiedy nie bedzie co robić. A patrz, do czego to dziś...

Nie skończyła, bo jej Salka przerwała:

— Ktoś idzie!

— Może Łukasz wraca...

— Nie, insze kroki...

Drzwi się uchyliły i do izby wsunął się nieduży chłopina o załawionem wejrzeniu. Nie witał się z niewiastami, wchodząc jakby do swojej chałupy, bo też przez lata codzien z nimi się widywał. Był to sąsiad najbliższy, Jantaszek. Ż inszego wprowadzie osiedla był rodem, ale tu się z młodu przyżenił do gruntu, a skoro żona mu pierwsza pomarła, sierotą na ziemi bez dzieci ostawiony, wziął do chałupy wdowę, po mężu Danajkę, która mu za całe wiano przywiedła pasierba (jak się już wspomniało — Tomka) w takich krzepkich leciech, że mógł ojczyrna we wszystkim wyręczyć.

Ten to sąsiad, Jantaszek, przywlókl się jak zwyczajnie, w strapieniu swoim poszukując ludzi, którymby się mógł poskarżyć. Właściwie, to Jantoni było

jego imię, ale że był nieszczęśliwy wsze, a przytem śmieszny — gdy biadał ze łzami w oczach, to aż śmiech obalał ludzi — to też nazywali go z prześmiechu Jantaszkim, uważając go potrosze za niecałego gazdę.

Usiadł na ławie i, powlókłszy załzawionemi oczami po izbie, rzekł:

— U was tu dużo weselej...

Tekla uprzejmie przykiwnęła głową.

— Niedawno ściany obielone. Salka skądś takiej białej gliny wy dostała...

— Dyc biało... widzę... ale ja nie o tem... Zawdy to, zawdy inaczej, jak inszy człowiek jest w chałupie... Mnie haw już do urwania łba przychodzi... Już nie wiem, co se mam począć... Zrobisz co — to niedobrze... Powiesz co — to źle... I na żaden sposób nie wygodzisz, bo złość ma swoje widzimisię. Za jakie grzechy mnie Bóg skarał, to ja nie mogę wymiarkować...

— Cóż wam tak dolega?

— Dy wiecie... Już sie mi zecnąć chce na świecie. Taka sie stała teraz dokuczliwa, że święte goby za trapiła...

— Jakże wy tam z tą biedą dajecie se radę? — przerwała Tekla narzekanie, bo znała je jak pacierz.

— Nijakiej rady nie widzę. I nie wiem, jak to dalej będzie... Już ziarna niema ani na lekarstwo, tego owsa ta jeszcze coś staje... Ale co mnie najbardziej dziwi, to to, że ziemniaków ubywa z piwnicy, choć sie ich nie je... Zaohabiło sie tę szczyptę do sadzenia,

i to sie nie doczeka. Ktoś widać jest, co wynosi. Żeby ja go ino zdybał!

Oczy mu się zaszklify; a niktby nie powiedział, że w tym człowieku złość może siadywać.

— No, nie bedzie, to darmo — to człek wtedy wie, że niema... Ale teraz jeszcze cośby sie uzgarnowało, choćby tego owsa pośledniego... Cóż, kie ta sie tak uwzięła, że nie chce nic gotować, żywcemby chciała umorzyć człowieka. A wiem, że ona ta o sobie pamięta. Chcesz człeku jeść, to se gotuj, to sie przed tem wykłóć, bo pozamyka wszystko, jakby to jej było. Już sie mi ani gadać o niej nie chce. Telo wam ino powiem: wolałbych dziadem być ostatnim — szedłbych se, kanybych chciał, między dobrych ludzi... Miałbych co jeść, tobych jadł — a nie, to nie. I milejby mi było...

— O, dyć one wszystkim tak dokuczyły setnie te złe roki...

Jantaszek ciężko westchnął.

— Dla mnie złe roki nastaly, odkąd Danajka jest u mnie...

Powiedział to tak żałośnie, że obu niewiastom słuchającym mimowoli uśmiech poweselił oczy. Tekla zaraz, chcąc zagadać, by zaś nie myślał, że z jego strapienia się cieszą, spytała:

— Podobno okół stawiacie?

— E dyć... Niech Bóg da zdrowie temu kumotrowi. Wyszedł, i robi. i o nic sie nie napiera. Widziało sie, że to niedobry człek, a patrzcie... Jak sie to trudno na kimś poznać.

— Jakże on ta w chałupie?

— O, je tak, jak gdowiec. Nie ma mu kto uczciwie warzywa ustroić. Ta dziopa, ledwo że łachy przez wodę przewlecze, niespore to, jak złaza. Biedny i on już od czasu. Tego syna ma, kalekę we słuchu i w zroku, którego na dodatek Cyprjanem ochrzcili, jak na śpas, tak, że sami ludzie potem musieli przemieniać, wołając na niego: Cupryn! Ba dyć wiecie...

Tekla z Salką przykiwnęły głową, ale Jantaszek z ich twarzy zmiarkował, że czem innem mają obie, nie jego gwarą, myśli zaprzątnięte. Przerwał też gwara dość ochotnie, bo i sam w sobie czuł wyraźnie, iż mu nie to w uszach gra, co gada. Wróciłby do swoich strapień, ale już nie miał jako; zresztą widział, że i one swojemi zajęte. Więc, milcząc, oczami po izbie włóczył, sprzęty obzierał, ku nalepie patrzył, dobytek ich chałupy pocichu szacował. I naszedł oczami dzieci, zbite w gromadkę na ławie, cicho siedzące, zesmutniałe.

Chcąc przecież uwagę matki zwrócić na się, spytał najbliższego siedzącego Józka:

— Cóż wam mama na obiad uwarzyła?

— My jeszcze nie obiadowali! — odrzekł z dumą Józek.

Tekli na twarzy rumieniec wykwitnął.

— Tak zeszło... — zagadała z udaną swobodą — Łukasz gdzieś poszedł... Nie widać go... A tu czas leci... Dzień krótki... Nie obejrzysz się, już południe i śródwieczerz za niem...

Jantaszek zrozumiałe przykiwywał głową:

— Tak ono, tak... U ludzi haw nie inaczej... Jed-

nako płaci: bogaty, czy biedny — wszystkich te roki porównały... Biedy się nima co wstydzić, ani też narzekać na nią... Bo bieda jeszcze nie najgorsza. Gorszy zły człowiek, jak się trafi...

Urwał westchnieniem ciężkiem, aby zaś wiedziano, i że jego to gorzej nęka, niż wszystkie złe biedy. Po krótkiej chwili poszepnął jakoby do siebie:

— Śmierć ze wszystkiego byłaby najlepsza, ale... przyjdzie czas i na nią...

Spojrzał znacząco na obie niewiasty, by słowom swoim dodać przez to wagi, a potem chcąc niby chytrze zatrzeć jakąś myśl skrytą, której za słowami nie miał, popatrzał niedbale w okno:

— Ho! To już wieczór się przybliża...

Salka, mając na uwadze skupione w gromadkę dzieci i korzystając z przypominku, ozwała się z nieśmiałością:

— Trza pomyśleć o jakiej wieczery...

— Żeby nie ta święta noc — ciągnął Jantaszek — to nie wiem, coby człek ze sobą począł. Dzień, widzi się, że krótki, a dowyzierać się jej nie porada. Tela człekowego dobra na ziemi, co prześpi...

— Żeby to można spać... — wtrąciła Tekla.

— Bywają i noce złe, bywają... Ale teraz w tych czasach, to dzień sto razy przykrzejszy. Obstoi za miesiąc czyśca.

Dzieci przerwały dalszą gwarę płaczem, bo się z cichości wybiły odrazu, skoro im Salka wieczere zbaczyła. Oblazły matkę i poczęły się przykrzyć, dopominać — musiała je słowami legować jak mogła.

Jantaszek też, widząc, że się wśród tych rozplakanych głosów do dłuższego słowa nie dociśnie, począł się zabierać ku drzwiom.

— E, siedźcież jeszcze, nie chodźcie — poprosiła za gaździnę Salka.

Ale się nie zawrócił, choć nie miał dużej woli iść, i wyszedł.

Ledwo się dzieci uciszyły, już to w kołysce zapoczęło skomleć; musiała je matka spokoić karmieniem, a Salka zaś zajęła się strojeniem wieczerzy.

Mrok już na szybach osiadał i zadymiał je pomału. W izbie robiło się ciemno. Z ciemnością wpełznął strach, nakazujący dzieciom, by się nie ruszały. Zbiły się więc w gromadkę, jak pisklęta na gnieździe, gdy noc zawłóczy niebo, a matki nie widać z pola, i siedziały w szarym mroku pod oknem na ławie. Cisza je gniotła, tak trwożąca, jakby w komorze obok, abo w sieni umarły leżał. Poweseliły się dopiero, gdy Salka roznieciła ogień na nalepie. Światło strzeliło na izbę i poczęło z wartkością rozmiatać mrok, wyganiać go do sieni — pozostał jeno ukryty pod ławą i z nieśmiałością przyczajony w kątach, a zresztą jasność wypełniła izbę, gubiąc się w dymie, niby we mgle, w górze, pod powałą.

Dzieci pzeskakiwały z ławy, bo je tam zimno, pchające się przez uchylone drzwi do izby, kąsało w bosc nożęta, i usadowiły się razem w kącie na nalepie, grzejąc stopy zwinięte przy ogniu, marząc przy ciepłe o wieczerzy. Salka, porobiwszy, co było do zro-

bienia, siadła na ławie przy nich. Tekla zaś usypiała dziecko, to najmłodsze, ruszając z lekka kołyską.

Kroki w sieni zadudniły — do izby wszedł Łukasz. Bez słowa powitania wszedł, czołem o dym skłębiony w górze zawadzając i usiadł ciężko na ławie. Z kąta wybłysły ku niemu, jak iskry, oczy dzieci, uradowanych zjawieniem się ojca — ale pogasty pomału, podobnie znowu jak iskry.

Tekla podniosła głowę z nad kołyski, przy której pochylona klęczała, niedobrze i niespokojnie spojrzała na niego, potem na Salkę, jakby jej rzec chciała: „Nie mówiłach ci, że taki wróci?“ Salka jednak nie uważała jej spojrzeń, smutnie zapatrzona przed się i myślami z izby wychodząca.

A Łukasz siedział bez ruchu, jak usiadł, oczyma w jedno miejsce patrząc i nie patrząc — powiedziałyby kto: „Martwy czy co“ — gdyby mu się pierś nie podnosiła.

I długie chwile uszły, a nikt się słowem nie odezwał.

— Cóżes ta słyszał? — spytała nareszcie Tekla.

Głos jej miękki drżał, jak pierwsza struna, przerywająca ciszę.

— Nie powiesz nam nic? — pytała jeszcze milej, gdy się na pierwsze słowa nie odzywał.

— Coż będę gadał?... poco?...

W głosie jego takie zgnębienie było słyhać, jakie się słyszy w głosie ludzi, którzy przeżyli świeżo śmierć najbliższych. Już też go więcej Tekla nie pytała. Ten

smutek jego przyniesiony od ludzi ze życia i jej się częścią dostał.

Wieczerzę jedli w milczeniu. I żadne od miski oczów swych nie oddzierało. Głód przyniewalał. Łukasz jeno marudził, podobnie jak przy śniadaniu, łyżką na miskę sięgał jak z przymusu, już nie z uwagi na dzieci, łakomie pożywające, jeno że taką ciężkość czuł na sercu, jakby je kamień młyński tłoczył. Wnetki też położył łyżkę.

— Czemu nie jesz? — prosiła żona.

— Ja nie głodny... Tu mam pełno — pokazał dłonią na pierś. — Widzi mi się tak, jakbych był skałą napasiony...

Po wieczerzy Salka posprzątała na nalepie, pomyła, poukładała wszystko na swoim porządku i wysunęła się nieznacznie z izby.

Dzieci posnęły odrazu, gdzie które sen napadł. Zbierała je matka po jednym i przenosiła do łóżek.

— Kadyż Salka? — ozwał się Łukasz.

— Czy ja wiem... poszła na pole...

Łukasz po chwili znowu:

— Ja jej muszę zapowiedzieć, żeby ona sie z tym Tomkiem nie wdawała...

— Sprawiedliwiebyś zrobił... i ja jej już powiadała..

— Ty ją strzeż... bo ona nie wie... a to huncfoł!

Słowo ostatnie wyrzekł twardo, nabrzmiałym od gniewu głosem. I znowu cisza, jak poprzód, zaległa izbę.

Łukasz zadumie znowu podał głowę i ani drgnieniem nie zdradzał czuwania. Bo w rzeczywistości myśl

go, jak we śnie, odeszła i błąkała się smutna ponad przepastne urwiska, od których nawet śmierć sama mniej się wydaje trwożąca. Drogi ratunku upatrywał, a napotykał wszędy przepaść — zawracał myślą i znowu szukał nadaremnie, ciężko od umęczenia wzdychając.

Tekli ogromnie dokuczliwie to przygnębienie Łukasza ciążyło. Bo i jej, gdy go widziała takim, strach stawał przed oczyma. „Cóż będzie, kiedy on już taką bezradę widzi?“ I szukała, czem go wyrwać z tej ciężkiej zadumy, ale nie znalazła w głowie. Co powie — to może jeszcze smutku przydać myślom. Żadne słowo w tej chwili nie widzi się dobre.

Stała dość długo nad dziećmi, które już poukładała, poprawiała im pościel pod głowami, potem przeszła ku nalepie i, nie widząc przed sobą żadnego zajęcia, zwiesiła głowę, wsparła ją na dłoni, oddech nawet zciszyła, by jej nic nie słychać było — i żeby mogła mgłą się gdzieś podziąć w tej chwili, toby ochotnem sercem uczyniła. Widziało jej się, i tak czuła, że obecnością swoją w izbie przydaje jeno strapiień Łukaszowi. Aby pomóc mu, nie widzi rady... Któż tu pomóc potrafi? Chyba jedyne Bóg...

Podeszła cicho do skrzyni, wyjęła matczyną książkę, poczem klęka przy nalepie i poczęła przy doblyskujących główkach czytać pocichu sobie samej; ale jej jakoś nie szło to czytanie. Przystawała co chwila i pozieriała na Łukasza, chrząknęła nawet parę razy, by zwrócić jego uwagę, wreszcie nieśmiało się ozwała:

— Przeczytać na głos?... Taka tu jest prześliczna medlitwa... „Do Pana Jezusa w strapieniu...“

Skoro nic nie odrzekł nato, rozpoczęła:

„O Stworzycielu nieba i ziemi, Odkupicielu rodzaju ludzkiego...”

Łukasz zdjął kapelusz, nie ruszając się z miejsca. Tekla zaś dalej czytała:

„...Synu Boga żywego, Panie Jezu Chryste, przed Tobą, grzeszny, swoją głowę skłaniam, przed Twojem Bóstwem na kolana upadam, ja grzeszny, dla wielkich grzechów moich nie śmiem wołać ku Tobie, Panu mojemu i Odkupicielowi, któremu wszystkie grzechy moje są wiadome; a gdybyś, Panie, raczej patrzył na przewiny moje, aniżeli na najświętsze miłosierdzie Twoje, zginęłaby w głębokości dusza moja dla obliczności gniewu Twego, i wszystkaby ziemia zginęła dla grzechów moich. Nie raczże mnie karać potępieniem duszy mojej, którąś odkupił nie złotem, ani srebrem, ale swoją krwią na krzyżu, Panie. Nie karz mnie za zbrodnie moje sromotą świecką, ale wspomnij na oną sromotę, którąś miał, gdyś na krzyżu obnażony wisiał przed czystą Panną Marją, Matką Twoją miłą; nie karz mnie smutkiem za grzechy, którymi Cię obraziłem, Pana mojego najmiłościwszego, ale wspomnij na owe zasmucenie, jakieś miał, kiedyś na Górze Oliwnej Ojca swego wzywał, wołając: „Jeśli by mogło być, Ojczy najmiłszy, żeby ten kielich odszedł ode mnie — wszakże nie tak, jak ja chcę, ale jako Ty chcesz — niech się stanie”. Przez Twoje, miły Panie, zasmucenie, któreś natenczas miał, kiedyś wszystką mękę swoją widział; iż Twoje święte człowieczeństwo nie byłoby zostało żywe, by Cię było Bóstwo nie spomo-

gło; tak się to święte człowieczeństwo bało śmierci, iżeś, miły Panie, krwawym potem się spocik, a Tyś niewinny był, Baranku, któryś żadnego grzechu nie uczynił, a nasze grzechy wszystkie na się przyjął, choć Pan i Stworzyciel“.

„Proszę Cię, miły Panie, wspomnij wielkie miłosierdzie Twoje, ponieważ ciało i dusza moja bez Ciebie, Pana mego, być nie może. Wszak, Panie, rzekłeś: „Nie chcę śmierci grzesznego człowieka“. Wierzę, Panie, iż mię, jako prawdziwie ukrzyżowany dla zbawienia mojego nie raczysz odrzucić od miłosierdzia swego; boś słowem swoim wyrzekł: „Człowiecze! Kiedykolwiek westchniesz za grzechy swoje, nie chcę onych więcej pamiętać“.

„Wierzę, mój Panie, iż mię przyjmiesz do miłosierdzia swego, jakoś marnotrawnego przyjął syra i jakoś przyjął grzeszną niewiastę, Magdalenę; Ty wiesz sam, dobry Panie, jak się masz nade mną zmiłować; a miłosierdzie Twoje większe, niż grzechy całego świata, a tak mam ufność w łasce Twojej, Panie, iż mnie też raczysz w strapieniu mojem pocieszyć. O co Cię pokornie proszę przez owo w Ogrojcu Judaszowe zdradzenie, przez one haniebne pojmanie od niewiernych żydów, i przez okrutne i nielitościwe przez rzekę Cedron prowadzenie i o kamień zranienie. Po którym-eś przewidzion do Annasza, a tam-eś policzek wziął niewinnie; potemeś wiedzion do Kaifasza, tam-eś naigrawan, okrutnie policzkowan; potemeś ku Piłatowi wiedzion, gdzie Twe najszlachetniejsze ciało było zbite i łańcuchem obciążone. Przez one fałszywe świadec-

two przeciw Tobie, przez nielitościwe prowadzenie do Heroda, przez sromotne od Heroda do Piłata znowu odwiedzenie, i przez nielitościwe odzienia zdarcie, i u słupa okrutne biczowanie, i przez niewinne na śmierć osądzenie, przez okrutne przybicie rąk i nóg Twoich do krzyża, przez smakowanie żółci z octem, przez siedem słów Twoich najświętszych, przez żalność Matki Twojej, którą miała, pod krzyżem stojąc i patrząc na Ciebie tak zbitego, między łotry zawieszonogo, przez śmierć Twoją najświętszą, przez przebicie boku i serca Twego i przez Twoje do grobu złożenie, — przez te wszystkie najświętszej męki Twojej wspomnienia, przez to wszystko, com ja grzeszny wspomniał — racz mnie, o Panie, w tej prośbie wysłuchać: wyrwij mnie z tej nędzy ciężkiej, jakoś wybawił Jonasza z brzucha wieloryba, Zuzannę od śmierci, Daniela z paszczęki lwów, Piotra z głębokości morskiej“.

„O Boże! O Adonaj! Wielki i miłosierny! Zmiłuj się nad nami!

„Jakoś cudownie lud Izraelski z Egiptu mocą prawicy Twojej wyprowadził i przez czterdzieści lat na puszczy karmił, opatrował: tak i nas, sługi Twoje, z tego utrapienia, nędzy i z wszystkiego uciśnienia wyrwij. Prosimy Cię w imię jednorodzonego Syna Twego, Jezusa Chrystusa, który nam to słowem swoim przyobiegał, mówiąc: „O cokolwiek Ojca mego w imię moje prosić będziecie, wszystko wam będzie dane“.

„Tedy w imię to najdroższe, Jezusa, Boże Ojczy wszechmogący, proszę Cię...“

□ W książce następowało:

„Tu trzeba przydać i nadmienić, o co się chce Pana Boga prosić“.

Tekla przerwała czytanie i ułożyła w myślach prośbę, ale jej nie śmiała na głos wypowiedzieć. Pan Bóg i tak wie... i Łukasz też wie... Czytała dalej:

„O to wszystko, Boże wszechmogący, proszę cię — i wierzę, iż raczysz wejrzyć na zasmucenie serca mego. Bo któż mnie ma inszy cieszyć, któż jest, któryby mi co dobrego uczynił? Tylko Ty, Panie, Boże mój! Nie opuszczajże mnie, ale wspomóż, jedyna moja nadziejo!“

„Przez wielką miłość Twoją, którąś umiłował człowieka, żeś zstąpił na ten świat, żeś się sam stał człowiekiem, i podjął okrutną śmierć — Stworzyciel — dla swego stworzenia — o Panie Jezu! Najmocniejszy Królu! Racże mię w nędzy pocieszyć“.

„Polecamy się Twojej najświętszej opiece... O najłaskawszy i najmiłościwszy Odkupicielu nasz, nadziejo nasza i objawienie nasze jedyne, o najdobrotliwszy Jezu, Kochanku nasz najmiłszy, o wszystka miłości nasza, słodkości serca naszego, żywocie duszy naszej, o najaśniejsza światłości nasza, największe wesele nasze, pokoju nasz najwdzięczniejszy, o bogactwo nasze najwyższe, dobroci nasza, doskonałości nasza, o raju wielkiej rozkoszy! Pokaż Twą litość nad nami!“

„Chryste! Jakaś mocą swoją Bożą cudem nakarmił rzesze niezliczone siedmiu bochenkami chleba — tak, prosimy Cię przez Twoje miłosierdzie, nakarm dzisiejsze sługi Twe niegodne...“

Głos jej złamał się w płaczu. Opanowała się je-

szcze i z sercem, wiarą gorejącem, szepnęła słowami swemi:

— Nie daj nam i naszym dzieciom pomrzeć z głodu...

Po tych słowach Łukasz zesunął się z ławy i runął kolanami na podłogę. Z piersi dobywało mu się ciężkie sapanie. Pięści przy oczach trzymał i trzął się cały w płaczu.

Głód i miłość.

Dzień jeden był do drugiego podobny — jeno coraz to smutniejsze. Widziało się, że się niebo zawłóczy jednostajnymi chmurami, i okna stawały się mieszkańcom chałup z każdym dniem nowym posepniejsze.

Ludzie się coraz dłużej w dzień zadumywali. Spali długo — starali się jak najwięcej dnia urwać ku nocy. Wyzierali na niebo — odwiedźli się w milczeniu i — czekali, bojąc się słów bez nadziei głośno wypowiadać.

Zdarzeń nijakich. Tak i w chałupie Jamrozów. Jednego dnia, prawda, zdarzyło się: wpadł do ich izby Jantaszek, prasnął kapeluszem o ziem, łapił się obiema rękami za głowę i już od progu zawołał:

— Coż mie też, aj mie też nadało!...

I powtarzał w kółko to samo, jakby mu się coś w rozumie zmaćciło.

— Coż wam to? — pytali się zdziwieni.

Jantaszek oddychał ciężko.

— Ho moiściewy, ani... anibyście nie uwierzyli.

— Siądźcież...

— Co ja se też, aj ja se też pocznę!

— Siądźcież i opowiedzcie, co wam sie to stało — rzekła Tekla.

Podjął posłusznie kapelusz, podszedł płaczącym się krokiem ku ławie i usiadł z wolna.

— Wiecie, kto mi z piwnicy ziemniaki wykradał?... Tomek!

Salka drgnęła na to słowo, i popatrzyła na Jantaszka przestraszonymi oczyma.

— Tak, mój Tomuś z Gabrysiem... Oba majstry... Wzięli się do tej budowy — ja se myślę: dyć dobrze, róbcie kiedy chcecie... A ci, widzicie, zmówili się i robili skrony tych ziemniaków. Robota ino napoziór, a o pieczenie szło... Tomuś nocą wynosił — i tak: jak jeden szedł do izby zagrzać się niby i zapalić fajkę, to drugi w zrębie piekł... A czasem ta ciupnął siekierą, coby się zdawało, że robi... Potem ten z izby wołał: „wyga?“... a tamten mu odpowiadał: „wyga!“, abo „nie wyga!“

— Dyć my słyszeli tę gwarę...

— Ba, i ja słyshał — a nie przyszło mi na uwagę, do czego się to odnosi... A to wiecie oznaczało: wyga-rnionę, abo nie wyga-rnione z watry... Coby szedł, abo nie szedł jeść... Tak moiściewy!...

Wodził po zebranych szklistem, przekrwawionemi oczyma, które nie patrzyły nijak.

— Mnie to gorzyło, co tych ziemniaków zdołu ubywa i ubywa, choć się nie je... Myszy przecie nie wielobłądy, telo nie potrafią przekieltować... Początech hledać i tak mi się odkryło. Widzę watrę we zrębie — ale myślę se: ręce grzeją przy robocie... Choć mi się to już nie podobało odrazu. I małochta zazierał, bo ani mi się patrzeć nie chciało na tę ich mitręgę. Aże

raz, moiściewy, zachodzę niespodzianką, bo mie ta cygańska gwara już mierzała — a słyszę właśnie „wyga“ patrzę przez szparę — mój Tomuś ziemniaki z watry wyga-rnuje... Ja do niego, a ten z pogrzebaczem do mnie. Wyrtnętech sie do izby, dopieroż zrobiłech ta-ter... Ale coż — Gabryś umknął — a ci sie nie boją... Wnetby człeka z chałupy wygnali... Swoje dobro kraść — powiedzcie! Co to za huncfoty... Bóg mie skarał tą Danajką! A i Gabryś... kumoter... Ale ja mu odpłacę to „wyga“! Aż mu sie w oczach zaniewidni...

W tem podobieństwie ugadał, uskarżył sie, uklął, i trochę mu się lżej zrobiło.

Łukasz nie odzywał się. Tekla wtrąciła czasem jakie słowo. „Dejcie spokój“ albo „co bedziecie robić“...

— Takie mie skaranie spotkało. Kto widział, słyszał — własnego ojca kraść! No ja mu ta nie własny, ale... powinien se uważać! Ale to już ród taki. Niech Bóg zachował Z matki pobłogę ma... I, panie święty, gazdują se. Jakbyś co pedział, toby cie ubili... we własnej chałupie! A jakże! Co mie też, aj mie też skusiło! Było telo bab inszych... Panbóg widać tak skarał człowieka za grzychy dawne. O Jezusie kochany! Wgląd-nij-że też na ten świat i zrób jaki koniec czemu kany... Bo człek zły — gorszy od największej biedy... — Gadał sobie, i jęczał, i kwilił, już mało uważając, czy go kto słucha albo nie.

Skoro się Jantaszek zabrał, Łukasz zwrócił się do Salki ostremi słowy:

— Widzisz... słyszałaś... jaki to majster z Tomusia?...

Salce boleśnie ściągnęła się twarz; spuściwszy głowę, rzekła cicho:

— Coż on winien... jak głodny...

— Lituj się nad nim! Wyjdiesz ty na tej litości...

Salka wybuchła płaczem.

— No patrzcie się... Ej, żeby ja tak był dawniej przeczuł!... Dałby ja ci był tych schadzek! Zresztą, djabli mie to...

Porwał się z ławy i wyszedł.

Przechodziły dni monotonne i coraz to więcej uprzykrzone.

Nareszcie wiosna niejako poczęła się rozrabiać. Po garbach i po ogrzbieciach zagonów ginął śnieg, poostawiając w bruzdach wodę, albo przymarzłe szkliwo; nie spędzało go przygrzaniem słońce, które ni razu jasno nie wyjrzało, lecz jakoby sam od siebie rozrzedzał się i tajał. Coraz to więcej szarych płatów odsłaniało się, kopliny rozszerzały się i, osychając, żółkniały zgniłą ściernią, jeno po wgłębieniach, popod wysokie miedze i po potokach urwistych widniały zrudziałe zasy.

Ale odsłaniająca się ziemia nic przyjemnego nie miała w wyrazie; była jakoby trucizną nasiąkła — ceglasta, żółta i rdzawa. Wrogą też okazała się wszelkiemu stworzeniu, które się na czas zimy w jej ciepło schroniło — często można było spotkać na poostawionych płatkach śniegu rozmokłe trupki myszy — same ich futerka — to łasice, łapkami do góry leżące —

jakby je strute lub z głodu poschnięte na wierzchnię z jamek wyrzuciła.

Nic też dobrego ludzie nie mogli sobie z tego wróżyć.

Skoro jeno śnieg zlaźł z garbów i kopliny się odkryły, wywarły się dzieciiska z chałup i gromadkami czerniły się po polach, szukając pożywienia. Najwięcej snuło się ich popod wysokie miedze, które patykami podgrzybały, znajdując korzenie słodkie.

Od osiedla Jamrozów, jeszcze po śniegu, który się bielił koło płotów i krzaseł wpool rozsypanych, znać było chodnik ku jaworowi, samotnie w kępie stojącemu; co rana i na odwieczrz wypadały dzieci Łukaszone i pod przewodem Józka biegły boskiem przez śnieg do jawora. Józek „żydkiem“ do skrobania ziemniaków podważał i łupił skórę na pniu, a one, przestępując z nogi na nogę, ssały słodkość, jaka się z za skóry z miazgi dobywała. Często tę skupioną koło jawora gromadkę widać było, to znów niby biegnące po śniegu kuropatwy.

A gdy oranie się poczęło, to jak wrony chodziły dzieci za pługiem; ze rzadka znajdowały ziemniaki prze-marzłe do pieczenia, częściej korzenie słodkawe, co się dały jeść odrazu, nawet bez łupienia.

Aleć i orania niewiele było tym razem. Mało kto miał czem orać i co siać albo sadzić. Tu ówdzie tam coś w ziemię wrzucono, poruszano, a poorane płatki były jak grządki na pustkowiu. Większa część połowniczysk tłoczyła się na ten rok, a w owsiskach i ugorach dalszych już od dwóch lat nikt ziemi nie ruszał.

Ludzie tej wiosny nie mieli co robić. Jednak nie

nawiedzali się, jak to przy czasie bywa — nie chcąc widokiem drugiej nędzy potęgować swojej. Każdy nosił zgryz w sobie, i w czasie powszechnego głodzenia się tej karmy ludzie byli pełni: ciężyla każdemu, jakby się skali najadł. Przeto chodzili ociężali, a lekcy w sobie — słabość ich leniwiła.

Obojętnieli też ludzie dla siebie, z każdym dniem bardziej. Na miejsce uczuć przyjaznych począł się wkraść głód. I rozpręgały się węzły przywiązania, miłości — ciężyc sobie poczęli najbliżsi... Ponurość na serca zaszła, podobnie, jak na błękity czyste zajdzie chmura ciemna i niebo doznaku skryje od krańca do krańca. Współbytovanie przeto stało się raną bolącą i coraz to bardziej ostremi zębami głodu rozkrawaną... Głód już nędzę z izb wymiółł i samojednie gazdował.

Nie ominął też zgrzyt cichej chałupy Jamrozów.

Jednego rana, po śniadaniu, które zaledwie dzieci zawróżyło, iż przestały na chwilę labiedzić, Łukasz, siedzący dotąd w ponurem schyleniu, podniósł się z ławy z ciężkim stękiem, ściągnął łoktusę z łózka i podał Józkowi:

— Na. Zaodziej sie. Pódziemy...

Tekla popatrzyła nań pytającym wzrokiem. Uchylił oczu i sam się począł zaodziewać.

— Każ on to ma iść z tobą? — spytała wreszcie lękliwie.

— Na służbę — odrzekł szorstko.

Józek wybuchnął głośnym szlochem.

— Ja nie póde na służbę! — bełkotał.

— Cit!... — zgromił go ojciec. — Zbier sie wartko!

— Ja nie chcę! Tato! Ja nie chcę!...

— Widzisz go? — pogroził mu rzemieniem.

— Coż ty z dzieckiem wyprawiasz? — wtrąciła Tekla.

Józek, widząc podpórkę u matki, zbliżył się, potaczając ku niej.

— Mamo, nie dajcie mnie! — prosił i aż zachodził się od płaczu.

— No cicho Józus, cicho — głaskała go. Salka też nabliżyła się i zasłoniła go zapaską, w myśli, by go skryć przed ojcem.

— No widzicie wy moi kochani... — zaczął zwolna Łukasz, a gniew po prędki zalewał. — To ja tu będę ceregiele z wami... Zbierasz się wartko, czy nie?! — wrzasnął już po nad nim i zamierzył się rzemieniem.

Józek zaskuczał cienko i zadygotał całym ciałem. Matka stanęła między nim a ojcem.

— Czy cie rozum odszedł?

— Ustąp!... — krzyknął Łukasz.

Nie ruszyła się. W oczach jej, hamujących Łukasza, zapalił się bunt.

— Ustąp padam ci, bo...

Zamierzył się powtórnie.

— Równe mam prawo do dziecka! — rzekła z mocą.

— Taak?

Uderzony tym niespodzianym argumentem, nie wiedział, co ma czynić. Tem większa złość go zapaliła.

— A któż się o to stara, by miał co jeść? Kto go odziewa? Co? Ciebie o to głowa nie zaboli. Na jednym człeku cała góra — i powiada ci: równe pra-

wo. Dyć we wszystkim niech będzie równe prawo. A ty cożeś mi do domu wnieśła?

— Bracie! — skoczyła Salka z wyrzutem.

Lecz Łukasz na nic nie baczył, oślepy gniewem. Jak poprzez mgłę widział splomienione dumą oczy Tekli.

— Ruszaj mi zaraz do ojców!! — piał w złości. — Niech ci dadzą to wiano, co obiecowali... Ja sie tu mam sam zajadać!... Jak równe prawo, to równe.

Dzieci, złęknione krzykiem ojca, podniosły płacz. Poczęła je Tekla głaskać i uciszać, i samej łzy przeciw woli rzuciły się z oczu; jak tarki siwe, spadały na głowy dzieci. Józek przypadł ku matce.

— Nie płaczcie, mamó — prosił, obejmując kolana jej drobnymi rączkami. — Ja już póde z ochotą...

I począł się łoktusą zaodziewać, zaplątując się w jej przydługich trokach.

— Dajże, to cię opasterzę — wspomogła go Salka.

— Zrób mi węzeł na karku — radził rezolutnie.

Łukasz stał na środku izby i pozierał z poza gniewu swego na jedno, to na drugie... Coś koło serca poczęło go cliwić, i poczęło mu być wstydno słów wyrzuconych w złości. Nijak mu przecie było cofać.

— Dyć ja go na stracenie nie prowadzę — wyrzekł łagodniej — ba na służbę, do ludzi. Nawet mu tam będzie lepiej, niż w domu. We młynie mają co jeść. Choćby ta mąka owsiana... to głodu nie będzie miał... i może sie jako przewiesnuje... a zapoganiać przecie już da radę... No, gotowyś? — zwrócił się do

Józka ostro, zły na się za wzruszenie, jakie okazał, widziało mu się teraz, niepotrzebnie.

— Już! — skoczył Józek. Obłapił matkę za nogi. — Nie krzyczcie nic, mamó, ja tu przylecę wnet... — I potoczył się za ojcem, opatulony do ziemi w łoktusę.

Po wyjściu ich długą chwilę milczenie zaległo izby. Dzieci już uciszyły się i, wtulone w kąt pod oknem, patrzyły dziwnie poważnie i nieruchomo w jedno miejsce — tam, gdzie ojciec stał. Salka zakołysowała dziecko, które się przebudziło. A Tekla stała przy ławie i z myślą jakąś zmagając się; na licach łyzy jej przyschły, oczy suche patrzyły przed się, nie widząc; wreszcie postanowienie stanęło w jej obliczu. Podeszła ku żerdce i poczęła ściągać ła chy święteczne i wdziwać na się.

Salka z niepokojem szła za jej ruchami.

— Każ się to zabieracie? — spytała.

— Do ojców...

— E miejcież zastanowienie. Przecie to ino w gniewie tak mu się powiedziało. On sam teraz musi tego żałować.

— Mojaśty... jakby ci tak ktoś... komu serce z piersi byś wyjęła, wszystko zdrowie oddała i... całe życie... jakby ci tak, choćby i w gniewie, rzekł: nic-eś tu nie wnies'a...

Nanowo żałość ją okrutna przejęła, i łyzy z oczu poczęły się staczać.

— Myślałach już zabrać dzieci... te drobne... i iść ka w świat.. Ale... ludzie nie przyznaliby mi prawdy.

— Nie płaczcież moi drodzy, bo aże coś się robi... I nie chowajcie żalu. Uważcie: on od wczóra od rana

nic nimiał w gębie... A tu zgrzyt — tu dzieciśka... i ni-
jakiej porady...

— Ja wiem dobrze... bo dyć i ja sama...

— No to widzicie.

— Ale bych mu słowa gorzkiego nie dała...

— No, on chłop... zwyczajnie...

— Tem słowem tak mnie odbił, jak ptaka kamie-
niem z gniazda...

Stała już, zebrana, jeno chustkę miała zaodzić.

— To myślicie koniecznie iść? No to jakże...

— Ja tu wrócę na odwieczarz. Przecie jakżebych...
tak... odeszła. Powiem im, jak mi wyczytuje. Niech sie
postarają, niech dadzą cō. Jakbych drugi raz to miała
usłyszeć...

— No nie płaczcież już... sestro...

Przybliżyła się ku niej i głaskała po głowie. Te-
kla ustała płakać, zaodziała chustkę.

— Uważaj też tu na dzieci... Słuchajcież ciotki! —
przykazała. — A jak on wróci...

— Cóż mu powiedzieć?

— N-nic... — rzekła po zastanowieniu. I wyszła.

— — — — —
Salka czuwała w izbie sama. Dzieci, skulone na
ławie, pokładły na sobie główki i usnęły. I to w ko-
łysce spało. Słonko prosto z południa świeciło. Świa-
tło z okna spadało na ławę, z ławy na ziem.

Czuwającej przesuwwały się przez głowę myśli pełne
utrapiień! i — trwogi. Smutne dni lat ostatnich, podob-
ne sobie, ołzawione, jak opłakane po stokroć paciorki
różańca... Codziennie ten różaniec przesuwiał się

w jej myślach — i ta trwoga, której bała się pomyśleć w słowach: kiedy przyjdzie ostateczne Amen? Czuła sercem, mierzwiącym z trwogi, że gdzieś w Wyrokach jest już powiedziane... Jeden Bóg mógłby odmienić. Ku niebu przeto nawracały się myśli obłąkane i w Jego łasce szukały schronienia, jako te owce przez wilka zestrachane, ku pasterzowi z ufnością przypadłe.

— Bóg nie opuści — szeptała z otuchą. Widziała potwierdzenie wiary tej i w swoim życiu. Ostała sama na świecie, sierotą, a Bóg natchnął ludzi dobrych, że ją wzięli i wychowali jak swoją...

Pamięcią poszła do lat swych dziecięcych. Majaczą w oddaleniu, za srezogą czasu — ledwo je uznać. Wszystko w nich mgławce, wiotkie, przyszarzałe, jak różowe muśliny wyblakłe na słońcu.

Jedno baczy wyraźnie... Raz pobiegła z Łukaszem na trześnie. Łukasz wyspinał się na drzewo, rwał i cisnął jej na ziemię, a ona zbierała do podółka. Mali byli oboje. Najwięcej trześni — i najdojrzalsze, prawie czarne — było na konarze odstającym daleko od pnia, wysoko nad ziemią. Po tym konarze Łukasz się pochołgał, nie dbając nic na jej wołania i prośby. Nagle konar się odłamał i Łukasz zleciał na ziemię. Oczy zakryła w przerażeniu, a gdy je znowu odsłoniła — widziała, że leżał na ziemi zesiniały, prawie martwy z przestachu i bólu.

W zadumaniu podeszła do okna i wzrokiem poszukiwała znajomej trześni. Na pół suchemi konarami wychylała się z zaokołu, z rogu osiedla.

Jeszcze raz w jej obliczu pomyślała sobie całą tę historję z lat dziecięcych.

Chciała rozpoznać konar, który się pod Łukaszem złamał — opatrywała ją z uwagą od góry do dołu — i ze zdziwieniem stwierdziła jej przykrą zmarniałość. Ani jednej trzesienki na żywych kończynach. Liście poskurczane, chore, żółtkłe zawczasu.

— Kwiat zaraziło...

Zesmutniała, wróciła na dawne miejsce, ku nalepie. Długo jeszcze został jej w oczach smutny obraz: — rdzawa ziemia osiedla, szerniały róg okołu, żółtkła trześnia i szare w oddaleniu ściany sąsiedowych chałup.

— Co oni też tam robią — myślała o ludziach z poza tych ścian. — Nikto się nie pokazuje. Pewnie i tam trwoga przed ostatecznym głodem drzwi zaparła. A jak to było przed paru rokami w tym czasie... Gwaru pełno w osiedlu — ludzie do pola i z pola... ruch przez dzień cały. I słońko wtedy weselej świeciło. Nawet zieleń traw była weselsza... Ku czemu też to idzie? — dygotało niepokojem serce. — Boże, zlituj się, przemień...

O los swój przyszły najmniej się trwożyła. Czula się najmniej na świecie potrzebną. Cóż ona jedna, sama może ważyć? Nic nie ubędzie, choćby ją śmierć wzięła. W strapieniu swoim miała na myśli brata i bratową, i te ich dzieci —

Popatrzyła z litością na śpiące —

I jeszcze kogoś...

Cień wysoki przemknął z poza szyby. Salkę objęło wzruszenie. Z trwożnem ucieszeniem słuchała stapan

znajomych i z obawą radosną patrzyła we drzwi. Te uchyliły się za moment — do izby zajrzał Tomek. Poczem wszedł za próg.

— Samaś?

— Sama — z dziećmi.

— Każ poszli?

— Bratowa do ojców — a on powiódł Józka małego na służbę...

Pojrzał na zimną nalepę...

— Nie paliłaś na obiad?

— Nie. Dzieci śniadały... Głodnyś?...

— Ba? Psiakr... z takimi ojcami.

— Cii... bo je zbudzisz. Nie klnij.

Podeszła ku łózkowi, wyjęła z pod zagłówek kawalek placka i podała mu.

— Na-ści, ukąś.

— To wy tu widzę święta macie?

Nic nie rzekła — patrzyła ku ziemi, gdy on siadł na ławie i krzepił się. A takie łaknienie ją w obec jedzącego napadło, iż ledwo ustać mogła z osłabienia. Wszystką wolą sobie nakazywała, by nie wybuchnąć łzami.

Tomek, skoro podjadł, poweselał i śmieiej patrzył po izbie.

— Rychło przyjdą? — dopytywał.

— Nie wiem.

— Klucze od sąsieków ostawili?

— Nie zamyka się — nima co...

— Jak placki pieczenie...

Nic znowu nie bdrzekła. Cóż mu powie — że to

sobie od ust odjęła? Płacz ją jeszcze w piersiach dławił.

— Muszą mieć ziarno jakie — twierdził. — Dasz mi z miarkę. Abo choć cały garniec. Mojaśty... Coż głową kręcisz? Przecie nie poznają. A choćby i poznali — to coż? Przecież ty tu jak swoja — wolno ci.

Salce ból serce ścisnął.

— Idź, weź se, jak jest.

Tomek wstał z ławy i zabierał się wyjść.

— Tomek, miej rozum! — zastąpiła mu energicznie. — Jak sie uśmiata jeszcze jaka szczypta, to przecie, widzisz, dzieci...

— Coż ci o nie?

— Mnie o nie więcej, jak o siebie. Siądź, bo nie dam...

— Ho! Ho! — roześmiał się z przymusem — przecie ja ino ze śpasu...

— Nie czas do śpasów — szepnęła.

Zbliżył się ku niej i otoczył ją ramieniem.

— Cożeś taka?

Patrzyła ku ziemi, nie chcąc powiek podnieść — czuła pod niemi łzy. A gdy ją mocniej jął cisnąć ku sobie, poczęła się wrywać z wysiłkiem.

— Nie opieraj sie. Przeciś moja...

— Czyś zgłupiał? — zatrzęsa się. — Przy tych niewiniątkach...

— Śpią przecie... Saluś...

— Nie chcę! To grzech!

Szarpnęła się rozpacznie i uwolniła się z jego ramion,

— Jaka... święta — zaszydził.

— Już mie więcy nie napastuj! — rzekła obłędnie i poczęła płakać. — Ja nie wiem, Boże!... za co ja... za co ja cie...

— Znowu te... pacierze — zaklął. — Wiedz se, żeś już ślub wzięna. Pamiętaj!

Wyszedł i łupnął drzwiami za sobą.

Salka, jak stała osunęła się na kolana koło skrzyni i oczy ku obrazom wzniosła.

— Panie Jezusie! Matko... — szeptała w płaczu — Darujcie to przewinienie... Nie karzcie hańbą...

I myślą dalej się modliła.

Chwile mijały — a Salka nie podnosiła się ze ziemi. Głowę na skrzyni wsparła i trwała tak w znie-ruchomieniu, jakby ją sen nawiedził.

Tak ją zastała Tekla, gdy weszła do izby.

Dzieci już pobudziły się i skoczyły do matki radośnie. I to w kołysce poczęło kwilić i łapki wy-ciągać. Naprzód też ku niemu poszła Tekla, ledwo chustkę rzuciła ze siebie. Na pytające oczy Salki krótko opowiedziała:

U ludzi źle. Ostatki już ze sąsieków powyśmia-to-wali i nie wiedzą, czego sie jąć. Traw sie imają... Głód zaziera nawet do chałup bogaczy. Wszędzie strach i zwątpiałość. Co gorsza — choroby jakieś nieznane ludzi nawiedzają. W końcu dodała, że od ojców nic nie przyniesła. Przyniesła tylko skale piaskowe, jakie po drodze znalazła — do zaparzania łachów. Są w sieni w kącie, pod progiem.

Przygniatające milczenie zapanowało odtąd w cha-

łupie Jamrozów. Każde unikało mowy — a gdy kto słowo jakie z konieczności rzucił, to wpadało jak kamień w głębinę. Dzieci nawet, czując ten nastrój ciężący, mało się zabawiały głośniej — szeptały jeno po kątach do siebie — a gdy je głód nasilił, ćwierkały jak ptaszki w gnieździe, albo odzywały się ściszym płaczem.

Przednowek szedł — zawdy chłopskiemu narodowi wrogi, a tego lata stokroć jeszcze sroższy. Dawniej, choć ziarna brakło po zasiewach, to kupić można było na jarmarku: Lachy dowozili. A w tym czasie okrutnym znikąd nikt nie dowoził — widziało się, że cały świat ta klęska przysiadła. Pieniądze ludzie mieli, ale coż z nich było komu, kiedy chleba za nie nie kupił.

Rozgruchła wieść dnia jednego, że jakiś litościwy hrabia przysłał do wsi otręby dla dziadów. To się zlecieli wszyscy — i gazdowie — i rozebrali zasitek w godzinę. Po kwarcie, po kapelusie, po przygarstniu... Niejednemu i to się nie dostało.

Przednowek trwał. Na polach dopiero że się zieleńiło. Ludzie, mimo to, codzień łazili po zagonach, zacierali do rządków w ziemniaki — w nadziei już bezrozumnej, że się co da ugryźć. A ziemniaki nowe prawie się zawiązywały — były tak duże, jak okrągły groch. Żadnej potuchy ludziom zruszana z wiosną ziemia nie dawała. Wypadło bydłu się przyjrzeć — czem żyje.

W jedno rano poszła Tekla na ugór, nazbierała mlaczu, zaparzyła i podała na misce — z warzonem mle-

kiem. Zjedli w milczeniu — nikt słowa nie rzekł, że gorzkie albo jakie...

Ludzie poczęli się coraz więcej rozglądać w trawach i znaleźli, że wiele dało się jeść.

Dzieci deptały po trawnikach za zajęczą kapustą, za szczawiem — po ugorach wydłubywały osty białe, których rdzeń uważany był za smaki duże — słodkie im też były zajęcze karpiele o listkach drobnych, okrągłych, rosnące w przyłaskach wilgnych i w potoczkach — jak i główki koniczyny o miodnych kwiatkach. Wszystko to ścinała dziatwa, jak szarańcza.

Starsi mniej byli przebiorni. Wyzbierywali po miedzach lebiodę, chrząstkę, mlacz dwojaki... Wszystko to razem zgotowane, zwano powszechnie giernakiem.

Z tych traw, a zwłaszcza z mlaczu ludzie puchnęli na twarzach i w oczach okazywał się wyraz niezdrowy.

Wreszcie poczęła nawiedzać ludzi nieznana dotąd choroba, którą przewano łożnicą. O tej łożnicy rozmawiali ludzie: skąd się wzięła. To, że od Łachów przyszła, zdołu — to, że ją dziad jakiś, który nocował w izbie, gdzie ją mieli, przyniósł ze sobą w torbie — to znowu, że się zaległa w kępcie kamieni pod ławą w jakiejś chałupie na zawsiu, gdzie pierwsi ludzie na nią chorowali. Istne zmieszanie.

Nawiedzony tą chorobą, leżał w gorączce strasznej, w majaczeniach — przywidły mu się zdajały — ból niewypowiedziany czuł w głowie i w oczach — i po długim wytrzymaniu albo przychodził do siebie albo zierał.

I to miała do siebie jeszcze ta choroba, że prze-

łaziła z ludzi na ludzi jak ospa. Trafiało się tak w niektórej chałupie, że co jedno się podźwięło, to drugie leżało. W paru miejscach leżała cała izba — tak, że nie było komu bydłu dać jeść. Krowy ryczały z głodu. Sąsiedzi z dobrości swojej dochodzili i podawali jeść bydłu, a ludziom pić, bo pragnienie w tej chorobie było nie do wytrzymania. Choć poniegdzie to i bali się dochodzić ku ścianom, za które łożnica miała panowanie. I trafiło się: w jednym miejscu wymarła cała chałupa — z głodu więcej, niż z chorości, bo nikt się nie miał zająć ludźmi, w czasie gdy ich wszystkich wraz łożnica przysiadła.

Nie wszystkie przecie osiedla ta choroba ciężka nawiedzała. Szła poomacku, na ślepo — mijała wiele chałup, przyczajonych w trwodze. A że głód począł zasilać się trawami, których rozpoznanie rosło, i mniej doskwierał — ludzie potuchy nieśmiało nabierali w serca i jęli krzepnąć szczątkami nadziei, że przecie jako do czasu lepszego dotrwają; jęli też ufniej ku niebu spoglądać i coraz częściej modłami do Boga nawracać. Nadzieja z wiarą wstawała...

Którzy zaś w gorzałce mieli dbę od dawna, poczęli teraz, skoro pierwszy strach młynął, do karczem najczęściej i napijać się gęsto. Skłonień ku temu było wiele. Naprzód: czas przy szynkwasię mniej się dłużył — zawdy się ktoś z krześcijan, a choćby i żyd, znalazł do pogwary — po drugie: głód łacno dał się gorzałką szukać i nie tak już uparcie musiał do pamiętania o sobie — wreszcie, co najważniejsze: ciężąca

myśl o przyszłości stawała się po tem mizernem półkwarciu gorzałki dużo głowie lżejszą.

Poniekąd to i kłopot-zgrzyt z chałupy wypędził do karczmy. Jak i Jantaszka... Ten już, lem świt, zabierał się z domu, a wracał późno z wieczora abo i z północy. Słychowano go, bo na całe poblizsze osiedla głośił, i znano już te jego dróżki i stacje. Mały był, to, gdy się napił, głosem rósł w olbrzyma. Zwyk zaś miał na cały głos modlić się przez drogę, a przy chałupie, już pocichu, ofiarować te pacierze. Ofiarował za siebie, za krewnych, za sąsiadów, za księdza, za całą wieś, ale nigdy się nie omylił, żeby za żonę jaki pacierz zofiarować. Wspominał ją tylko raz w drodze — koło smętarza — i potem drugi raz na działku, przy kapliczce, gdzie zdejmował kapelusz, prał nim z mocą o ziemię i wołał:

— Panie! Odpuść mi grzechy! Odpuść mnie i wszystkim ludziom! Ino Danajce nie odpuszczaj!... i Gabrysiowi — dodawał już mniej zawzięcie. Miał złość na niego o te okrawki ziemniacze, które mu przed wiesną z Tomkiem wykradał z piwnicy i pieczone w zrębie wyga-rnował.

— — — — —
Właśnie nadszedł był czas Oktaw — pospólnych modleń i pieśni.

Procesja szła działkiem odludnym, drogą rzadko jeżdżoną, pełną odarnień i zaryw. Prowadził ją ksiądz siwy, staruszek, do odległej na zawsiu kaplicy, gdzie raz do roku w Oktawy procesją z kościoła chodzono.

Naród śpiewał litanję do Serca Jezusowego. Pieśń

monotonna utykała wraz z ludźmi na nierównych zadarnieniach drogi i rwała się, rozwlekała, jak cały ten procesyjny pochód. Co mocniejsi i młodszy szli w przodzie z chorągwią, za księdzem i kościelnym szła ciżba nabożnych, głównie niewiast, a dalej w tyle gromadkami, po parze i pojedynką wlekli się starzy, schorziali, zgłodzeni, i zesłabieni.

Na samym ostatku, dużo w tyle, mozoliło się dwóch ludzi: Gabryś i Jantaszek. Obaj srodze pijani. Szli, a raczej wlekli się na kolanach częściej niż na nogach — popychając się, szarpiąc i mietając sobą. Padali przytem w zarywy, we fosę, to znowu się dźwigali na kolana, i szli na klęczkach, i bili się. Zawziętość nie ustajała.

— Wyga? — pytał z nienacka Jantaszek i kulałkiem Gabrysia pod żebro....

— Nie wyga! — odpowiadał Gabryś i odplacał kmiotowi zarówno.

To znowu:

— Wyga?... — i pięścią Gabrysia w kark.

— Wyga! — odpowiedź podobna i odpląt.

Czasem zaleciał ich śpiew procesji — wyraźniejsze słowa — to się łączyli z modleniem żałośliwemi głosami — i znów wracali do swojego. I tak zdążali na klęczkach za procesją, pobijając się przez całą drogę, aż wreszcie i doszli, gdy procesja stała już dawno u kaplicy.

Właśnie skończono pacierze. Ksiądz staruszek powstał, obrócił się do ludzi i począł kazać: o gniewie Pańskim, o karze, która za grzechy spadła na lud,

o różnych rodzajach grzechu, o nieposłuszeństwie synów, o złem chowaniu dzieci, o rozpuście, o nienawiściach sąsiedzkich, o niezgodzie...

— Tu na tem miejscu — kazał — pogódźcie się, darujcie sobie urazy...

Lud buchnął płaczem skruchy. Gabryś z Jantaszkim obłapiali się za szyje, potaczając się na boki.

— Kumotrze, daruj mi!

— Ty mi, kumotrze, daruj!

A skoro ksiądz na zakończenie wspomniał o nieprzebranem miłosierdziu Pańskim, lud odetchnął głęboko i sączył tylko ciche łzy ufności.

Procesja szła zpowrotem tą samą drogą. Spiewano pieśń do Matki Boskiej. Pieśń utykała się, rwała i traciła się po drodze, jak kwiaty przydrożne. Naród się rozwlekał, co słabsi przyostawali. Na samym znowu ostatku zdążali Gabryś z Jantaszkim. Wlekli się prawie na kolanach, padając w zarywy, podźwigując się wzajem i obejmując co chwila za szyje.

— Kumotrze!

— Bracie!

I tak już na klęczkach całą tą procesję obesli.

— — — — —

Gabrysiów Cupryn pał krowę na powrozie, w sadzie. Procesji, przez działek idącej, nie słyszał, bo kaleką był — wiadomo — tak w słuchu, jako i we wzroku. Jedną miał myśl i jedno pragnienie straszne: — odymałki.. (Rosną na śliwach — na zielonych owocach zaraza — jak sporysz na życie). Wie-

dział, że są w tym czasie — przypominał ich smaki rozkoszne.

Pociągnął krowę ku płotowi, zadzierzgnął powróż za kulik i poszedł pomału, macając przed się rękami, w głąb sadu... Namacał pień śliwy — zatrzęsł nim, i, prędko rozchylając na piersiach koszulę, słuchał... gdzie odymałka spadnie. Schylał się po nią — i zawsze trafił napewno. Tak czynił po wiele razy. Aż się zasycił.

Powrót.

Ostrożnie, cicho, jak matka nad kołyską, nachyliła się nad łóżkiem Tekli.

— Lepiej wam?

Chora z wysiłkiem podniosła powieki i popatrzyła na Salkę szklącemi oczami, jakby nie rozumiała pytania.

— Lepiej wam, sestro? — powtórzyła.

— Czy ja wiem... pić — szepnęła, starając się zwilżyć spiekle usta.

Salka podała jej garnuszek z wodą, do której wgniotła dla smaku parę jagód.

Wypiła chciwie i wzrokiem podziękowała.

— Czy on... nie wrócił? — spytała po chwili i niespokojnie spojrzała na izbę.

— Nie jeszcze... — odrzekła Salka. — Nie myślcie o tem... On tu wróci, da Bóg, ze szczęśliwą nowiną. Uśnijcie... Może wam podciągnąć zagłówek? Tak... teraz dobrze...

Usunęła się i usiadła opodal na ławie. Głowę zwiesiła, od niespania ciężką i od strapień.

Tydzień już minął, jak Łukasz poszedł do świata. Wziął pieniądze ze skrzyni, wsypał je do trzosa, za-

wiązał na się i poszedł na dół do Lachów — kupić chleba. Potąd — powiadał — będzie szukał, pokąd nie znajdzie.

— Boże dospomóż! — błagała, nieraz i po stokroć na dzień. Wątpienia nawet na myśl nie dopuszczała. choć się cisło... — Cożby robili, jakby... Boże nie daj!... Ostatnia deska ratunku. Krom tej szczypty mąki w dzieźce: w sąsiekach nic niema — w całym obejściu nic — i na zagonach nic jeszcze nie świta. Dzieci od trawy popuchły — a i traw jadalnych brak... Na całym gruncie do liścia niemal wybierane. Dzień-ode-dnia z każdej chałupy osiedla chodzili i wycinali. Trza dzień hleđać za korzonkiem ostu. Na dalsze, sąsiednie grunta z inszych osiedli ludzie nie dopuszczą — strzegą tej jedzy, jak złota. Bardziej jeszcze — bo coż złoto teraz... Dyć je mają. Litość Boska, że się znalazła jeszcze — zdawna, jak główki Inu obtłukali — miarka główczaków w komórce: to się do mąki przyczynia. Ale na długo ta starczy? — Boże! Dajże też doczekać. Tydzień już minął, i nie widać...

A na dopłatek w tym samym dniu, w którym Łukasz poszedł, łożnica złożyła bratową na pościel...

— Pewnie, że to łożnica — dumiała. — Powiadają i w osiedlu, że to ona. Temu, nikto tu nawet nie zajrzy. Musieli ją bratowa już wtedy ze sobą przynieść, jak do ojców chodzili. Matko najświętsza, pociesz-że też...

Dziecko w kołysce zakwiliło.

Tekla poruszyła się na łożku.

Salka podniosła się z ławy, wyjęła z półki garnuś

z mlekiem, ucedziła do szmatki i dała dziecku. Myślała przytem:

— Łaska boża, że sie ta kapka od krowy dostaje, bo czemu by sie to maleństwo żywiło?

Possało i utuliło się.

Salka podeszła z garnuszkiem do łóżka.

— A wy sie napijecie mleka?

— Nie. Wody — jak masz...

— Już od kiesijsza tę wodę samą pijecie...

Uczerpnęła z konewki i podała jej.

— Żeby choć było co do tej wody, na smak...

— Ani nie wiesz, Saluś jak smakuje...

— Hm, mocny Boże...

Chora potoczyła wzrokiem po izbie.

— Każ dzieci?

— Na polu...

— Był tu kto w izbie?

— Nik. Ja sama.

— Zdajało mi sie, że był ktoś.

— Gorączkę musicie mieć... Czoło takie rozpalone...

— Ból w czole — i w oczach — straszny...

— Boże, żeby ja to wiedziała wam pomóc...

Chora z trudem zwróciła na nią gorączką błyszczące oczy.

— Nie boisz sie ty, Saluś?

— Czegobych sie bać miała?

— Bo to pewnie ta chorość...

Salka nic nie odrzekła. Nie wątpiła, że ta...

— Uważaj na się...

— Dyć żeby chciała z was przejść na mnie...

— Nie mów tak naprzeciw Bogu... Ale proś Matki Boskiej i patronki swojej, niech cię strzegą... I nie nablizaj się, jak niekoniecznie...

— O siostró! To jaby się was wrzodziła?

Rzuciła się twarzą ku jej stopom.

— Salka! Miej rozum!... Czy ty umyślnie chcesz się do nieszczęścia przywieść? Bacz, żeś już nie sama...

Salka, zmieszana, dźwignęła się i, milcząc, stała koło łóżka. Chorej, gdy patrzyła na nią, łzy napłynęły do oczu. Przymknęła je — i Salce, skoro po chwili skierowała ku niej wzrok zbiedzony, zdawało się, że usypia...

Cicho odeszła i usiadła pod oknem na ławie. Pół na izbę zwrócona, pół na światło szyb, sparała łokieć na przyokniu, a głowę na dłoni i tępy smutkiem patrzyła w osiedle...

Wodziła oczami po zrudziałej ziemi, po zaschłym błocie, po mierzwie nawozu, po szerniałych ścianachokołu, po nędznych konarach trześni — a myśl jej wiła się wciąż około jednego, około jednego... jakby ją obłąd ciężki motał.

Aż oparła oczy zbolące na niebie — i odetchnęła nieco.

Szarzało płatem z za okołu, niby szare, zblechowane płótno.

Wiedziała przecie, że za niem jest błękit, a za błękitem — zdroj Łaski...

Tam myślą przedzierała się przez mgłę — przez

smutek — przez tę całą swoją rozpacz... Jak ta ja-skółka, burzą uniesiona w stronę obcą.

Co ją trwoga owionęła, to się broniła jak skrzydłem, ufnością w Łaskę, w Litość nieprzebraną — i serce biedne skrapiała święta rosa pociechy.

— Bóg nie opuści — szeptała jej nadzieja.

— Bóg widzi twoją duszę... Saluś. — Jakby sły-szała nieznany, a znajomy skądś głos matki. Niezna-nej, a tak drogiej...

I, jak dziecko rzadko litowane, poczęła płakać rzewnie i skarżyć się łzami. Długo nie mogły się ustanowić.

Tekla poruszyła się na łóżku i coś wyrzekła.

Salka wstała, podeszła ku niej, ale widząc, że śpi dalej, wróciła.

Zdała dobiegły głosy dzieci. Dumiała iść po nie — bo już i wieczór się zbliżał — lecz bała się skrzyp-nięciem drzwi chorej przebudzić. Stała przy oknie nie-zdecydowana, gdy dzieci przebiegły koło ściany i za-trzymały się u progu. Słysząc było ich głosy ściszone:

— Ty idź pierwej.

— Nie, ty idź.

Chora zerwała się z krzykiem.

Salka skoczyła ku niej.

— Co wam, bratowo?

— Kto to?

— Dzieci wracają...

— O!... — opadła na pościel. — Tak mi się dziw-nie śniło...

— Spaliście co?

— Spała...

Do izby z łałasem wpadł Waluś.

— Anielka boi się iść przez sień, że tam w tych skalach, co mama przynieśli, siedzi łożnica... A ja prędko przeleciał...

Salka uchyliła drzwi.

— Póđź, Anielciu, nie bój się, tam nic niema.

Dziewczę ze strachem przemknęło.

— Widzisz, ja się nie bał.

— I ja się też nie bała.

— A czemuś nie szła?

— Bo... bo tam zmrok stał.

— Byli my tam — daleko — za miedzom — pochwalił się Waluś.

— I coście tam widzieli? — spytała Salka.

— Nic. Ani jedne jagody. Ktosi nam wybierał.

— A ja znalazła jedną zajęcą kapustę!

— To ja znalazł!

— Same dzieci nie rwijcie — ozwała się matka — bo byście się mogły otruć, wy nie znacie...

Anielka podbiegła do matki.

— A ja wiem, jaka zajęca kapusta. Taka słodko-kwaskowata!

— Idź, dziecko, idź...

— Jeść! — prosił żałośnie Waluś.

— Zaraz wam zrobię wieszczę — uspokajała go Salka, poczem nabliżyła się ku chorej.

— Jakże, lepiej wam co?

Tekla obróciła ku niej gorączką świecące oczy.

— Strasznie mie sny, umęczyły... — odrzekła i mó-

wiła, przerywając często, gdy oddech naspieszał: — Sniło mi się, że Łukasz przyjechał. A za nim Lachy, na furach. Najechało się tych fur — pełne osiedle. I poczeli zesypować ziarno... Nasypali taką kupę! Ja poszła po miarkę, coby mierzyć — wychodzę, patrzę — a to ino kupa trzasek. Naraz te trzaski poczynają się skręcać, rozłazić — i widzę, że to żmije... Jedna mi do nóg jedzie, syczy — uciekam przed nią ze strachem, a uciec nijak ni mogę. Buż — już mnie ma ugryźć... W te raży obudziłam się. Znowu usypiam, i śnije mi się, że naszło się do izby pełno jakichś obcych ludzi — i poczynają wynosić sprzęty... Ja wołam na głos o ratunek — ale się sama nie słyszę. I ci nie zwracają na mnie uwagi — jakby mnie w izbie nie było. Bierą miski, półki, ławy, — i wynoszą. A że wynieśli wszystko i łami się gdzieś zapodzieli. Ja została sama w pustej izbie. Naraz — widzę — ktoś, schylony, poza okno przechodzi, skrada się... Widzę ino grzbiet potworny... Wtedy mnie taki lęk wziął, zem krzyknęła, co sił — i zbudziłam się.

Ustała zmęczona i oddechała szybko.

A Salka słowa pocieszenia nie mogła znaleźć — tak ją te sny bratowej zlekły. Słyszała nieraz, mówili: Jak się śni, że kogo abo co wynoszą z domu — to śmierć...

Dzieci znowu poczęły się dopominać o wieczerzę. Ojca nie czuły w chałupie, to były śmielsze. Wiedziały że „mama chorzy, i leżą, i nic jeść nie chcą“ — pojmowały to jako rzecz prostą, nie rozumiejąc jeszcze

w swych głowinach srogiej wagi nieszczęść — choć już znaki jej poznawały z ust i oczu starszych.

Salka zakrzętała się koło nędznego posiłku, uciśzając je słowami i pieczętą.

W czasie, gdy przystrajała wieczerzę, zazierała często ku łózkowi, popychana niepokojem serca. Chora mżała jakoś dziwnie, ni to śpiąc ni nie śpiąc, czasem rzucała rękami jakby się oganiała czemuś, a gorąc od niej jechał — że go na twarzy Salka czuła, gdy się ku łóżku nablżyła. Gorączka z mrokiem rosta.

Salka prędko odbyła się z wieczerzą — nie miała czem długo się trudzić — ułożyła dzieci, to w kołysce nasyciła mlekiem i, siedząc przy niem, zakołysowała je, bo nie spało. Samą sen nadlatywał, lecz się mu oganiała siłą-mocą i czuwała, nasłuchując z niepokojem spieszego oddechu Tekli.

Czas coraz głębiej w noc zachodził... Na nalepie jarzyła się wiatrą i słabo przeświałała mrok izby.

Już miało się ku północy — dziecko w kołysce dawno spało — i Salka, nie mogąc snu zwalczyć, zdrzemnęła. Naraz obudził ją głos Tekli.

— Jada!

Porwała się na nogi i w rozespaniu spytała:

— Kto jedzie?

— Konie! Smoki ogniste! Pędzą! Już tu... Dzieci na drodze! Stratują! Waluś! Prędzej! Ratunku!...

Salka prędko pojęła. Już była przy chorej — gdy ta zeskoczyła z łóżka i brała się lecieć. Dygocąc z przestachu, obejmowała ją w pół ramionami, siłą ciągnęła na pościel i słowami prosiła, przedkładała:

— Na miłość boską — bratowo — cóż wam się zdaje — łąścież — opamiętajcie się — siostro!

Ledwo ją zdołała ułożyć na pościeli. Wróciła poruszyć watrę, by mrok rozjaśnić, gdy chora zerwała się z krzykiem:

— Oho! Już po niej! Już ją weźmie na rogi! Janielciu!... E bijcież tego wołu!

Salka podbiegła i ułożyła ją zpowrotem.

Za chwilę znowu:

— Czego ty tam za oknem? Jak wyjdę... Nie chodź z ogniem! Ścianę zapalisz! Uważaj!

Salka z przestraczem spojrzała przez ramię w okno — i złękła się jeszcze bardziej — w oknie stał ogień... Po paru sekundach dopiero przyszła nato, że to odbicie od watry.

— Uspokójcież się, bratowo — niech się wam nie przywiduje...

Nie wiedziała w bezradzie, co robić. Już jej nie odstępowała. Siedziała na kraju łóżka i zagradzała rękami, ile razy ta chciała się zerwać.

Po gorączkowym wybuchu następowało uspokojenie na moment — wtedy chora leżała nawznak, dysząc prędko, i mżała w sennem omdleniu, jako ta łodyga w skwarze, a oczy zaświecały się odblaskiem watry, to znowu gasły, gdy je przywierała. War ogromny bił od niej, aż sparnia się naokół czyniła. Gorączka wybuchwała falami, jakby w piersiach jezioro gorzało. Za każdą większą falą wracały zdajania.

— Młyn hurkota... Zastawcież wodę na przykopie! Jak się to koło obraca — obraca... Coś woda niesie...

Łeb straszny... Ach!

Biła dłońmi, jak skrzydłami, w powietrzu, aż, umęczona, ustała. Po chwili znowu:

— Chodźmy prać... Bier łachy! Prędko! Prędko!
— ciągnęła z pod siebie pościel — a gdy, zdyszana, opadła: — Huu... jak ten wodospad huu-czy!...

Po chwili jęła powtarzać w takt młotka, który bił w skronie:

— Sto korcy żyta — sto korcy żyta — sto kor...
Raptem zerwała się z krzykiem:

— Gore! Gore! Ratunku!

Cała była, jak płomieniem zajęta.

Salka wszyskciem natężeniem sił znużonych trzymała ją w pół i nie puszczała, gdy się ta rwała lecieć w świat.

— Bratowo! — prosiła, płacząc w bezradzie swojej — bratowo!

Ledwo udało jej się przewyciężyć ją i ułożyć na łóżku.

Chora po tem wysileniu leżała już spokojnie. War z wolna ustępował — przyszły poty obfite — wreszcie zesłabioną uśpił łagodny sen.

Tydzień upłynął od tej nocy trudnej, w której ta chorość wszechmożna została przytłamszona wyraźną mocą boską.

Tekla wstawiała już z łóżka i przesnuwała się po izbie wolno, lekuchno, jak mgła. Gdy stawała przy oknie, widziało się, że promienie słońca przechodzą przez nią, jak przez cienkie lniane pasmo — tak przezroczysty miała wygląd.

A zachodziła ku oknu często — i długo, uporczywie patrzała na drogę, skracającą w osiedle z zaokołu.

— Nie widać nic — szeptała z westchnieniem i smutna odchodziła ku łózkowi, by znowu za chwilę wrócić i patrzeć na drogę. Tak jej prawie dzień cały schodził.

— Idźcież dzieci, wyrzecz za okół, czy tata nie idzie. —

Dzieci biegły jedno przez drugie, jak strzały, i wracały zadyszane, z tą samą nowiną:

— Nie widać nic...

Tak już od dni paru.

Niepokój czekania owładnął wszystkich — Teklę, Salkę i dzieci. Często biegały wyczekać same, bez nakazu. Z każdym dniem coraz to przykrzejsze stawało się to czekanie. A już ten dzień ostatni dłużył się niepomrotnie. Widziało się, zwłaszcza chorej, że już niepamiętnie dawno było rano — a tu dopiero z południa czas się nawracał.

— Mam takie przecucie, że wróci dziś — mówiła do Salki. — Przecie niesposób, żeby tak długo... dwa tygodnie już... Można kraj cały obejść...

— Kto wie, jak daleko poszedł...

— Choćby też i za Wisłę... To przecie nie za morze...

— Ktoż wie, jak mu się tam gdzie darzyło...

— Boże dopomóż, zachowaj od nieszczęścia... Mam wiarę i ufanie, że go Stróż Anioł, Matka Boska doprowadzą szczęśliwie do domu...

O tem, żeby mógł wrócić bez chleba, nawet pozoru przypuszczenia myślom nie dawały.

— Mówią, że u Lachów pszenica się udarza...

— Dyć stamtąd przywozili te białe kukielki... Teraz już od roku nie przywożą.

— Musi im nie zbywać samym. Choć i żyta też pono siewają niemało...

— Kraj bogaty — niziny... Jakby kto czarodziejski kłębek potoczył i kraj tym cudem stanął...

— Skąd oni też to mają?

— Stąd, mojaśty, skąd i my mamy naszą nędzę — od Boga...

Zastanowiły się obie i nie śmiały myślom dalej dać płynąć. Przytem trwoga niemówiona i nawet nie-myślana stała, jak za drzwiami kostnicy, za każdą otwierającą się myślą.

— Dużo masz jeszcze mąki? — spytała nagle Tekla.

Tego pytania właśnie spodziewała się Salka i obawiała się go, niby wyroku jakiego.

— Prawie już... niema — rzekła drżąco.

— No nic. Nie turbuj się. On tu wróci. Jak nie dziś, to jutro najdalej.

— Nie wiem, co dzieciom ustroić?

— Dzieci zaczekają...

Właśnie wbiegły do izby, zadyszane, Wałuś i Anielcia, wołając razem:

— Mamo ktosi idzie...

Tekla z drżeniem przypadła do okna. Na skrócie drogi ukazał się nieznajomy człeczyna.

— Nie on — rzekła z zawodem, odchodząc, — Dziadek jakiś...

— Tu idzie?

— Zdaje się, że tu skręcił...

— Też choć usłyszemy co — bo już dawno, jak nikt się nie pokazuje. Jakby wieś wysnęła całkiem...

— Co się dziwić — boją się łożnice... Dziadek ten widać nie tutejszy, bo inaczej ominąłby...

— Ale wy jeszcze, bratowo, uważajcie na się, więcej leżcie niż chodźcie, bo jeszcze-cie wy niezdrowi, widać po was... Ta gorączka was pół zjadła. Dziewczątka takie...

Pogładziła ją dłonią po włosach.

— Nic mi, Saluś... — odpowiedziała pieszczotą. — Żeby on ino prędko wrócił... Jak myślisz, czy wróci dziś?

Zatrzymała się Salka z odpowiedzią, gdy do izby wszedł dziadek. Nie znały go, nie widziały ni razu.

— Wy skądsi zdaleka, dziadku?

— Od Lachów.

Popatrzyły na siebie, wzruszone.

Widocznie i tam tak samo — może gorzej — bo pocóżby tu szedł?... Przemogła się pierwsza Tekla i spytała:

— Cóż tam na dole... słyhać?

Dziadek począł wieścić słabym głosem, a im było tak przy tem słuchaniu, jakby je kto z urwiska na pewną zgubę popychał.

— Jak kraj szeroki — jeden zgrzyt... Nic nie usłyszy dobrego. Lament i gorsza rozpacz niema. Ziemią

przystała rodzić — i człowiek stanął bez rady. Telo płaci góra, co dolina. Po nizinach — po czarnoziemiach głód rośnie... Na ogromnej połaci ta klęska się szerzy — nikt nie może zgadnąć, kiedy jej skończenie... Znikąd nadzieja nie świta. Łażą postacie po polach — nie patrzą nawet ku niebu — smutne, jak samobójce. A po osiedlach choroby się szerzą. Chaty nierzadko stoją otwarte i puste — niewiada, gdzie się ludkowie zabrali: we świat daleki, czy na smentarz...

Powiadał też: Spotkał w jednej chałupie po drodze (wsi nie baczy) dziecko w kołysce na śmierć zakrzepnięte. Jeszcze łyzy miało na licach. Długo widać płakało, nim zgasło. Gdzie ludzie z tej chałupy, gdzie się matka podziała — nie mógł, przechodzić, wiedzieć.

— Miłosierdzie boskie odeszło za światy, a ludzkie głód zatopił... I niemasz litości nijakiej. Brat brata w przepaść zepchnie, by sam się odzierżyć — pokiel i jego nie popchnie los... Okrutne stało się życie. Człowiek się płacze pomiędzy głodem a śmiercią, nie wiedząc, ku której stronie się udać: na wschód, na zachód, czy południe — bo zewsząd zły wiatr wieje... I wątpi człowiek, czy jest kraj, palcem wyroków nie dotknięty... W czyścicu jest jeszcze nadzieja, a w piekle ino zgrzyt... Tak to za grzechy ludzkie piekłem stała się ta ziemia... Głód — choroby — i męki... I to, powiadają ludzie, nie koniec tych klęsk. Złe wieści idą zdołu... Coś sunie od północy — jakaś podmucha okrutna — niewiada jeszcze, jaka w niej czai się klęska...

Chwila uszła, jak umilkł, a one jeszcze słuchały — dzwoniły im długo w skroniach schyłonych słowa ciche, a ciężkie wagą, jak młoty.

Dziadek siedzą na progu, w swej płótniance konopnej, twarzą omszałą na izbę zwrócony, miał czas obejrzeć, oszacować cały dobytek chałupny — nawet popiół zimny na nalepie przegarnął, przesiał oczami — i widział w końcu dowodnie, że nic się tu dla niego nie najdzie. Oczy mu głodne przygasły, gdy, wezwyczajony: już do podobnych w swej łaźbie zawodów, szeptał sobie po cichu:

— Tak ono, tak... Wszędy ono tak na tym złym czasie...

I zabrał się — ani obie nie wiedziały, kiedy.

Zmrok zatopił już izbę, zakrył okno i zrównał ziemię z powałą, a one nie ruszyły się jeszcze ze swych miejsc i słowa nie przemówiły. Myśli trwożne, zgrzytliwe, trapiące, cisły się jedna przez drugą, a odpędzane — latały w kółko, w kółko — i doznaku je omotały. Dopiero głośny szloch dzieci z tych więzów je wyrwał. Salka wstała, zaświeciła łuczywo i podała im mleka, ostawiając trochę dla matki, która już najmłodsze karmiła. Światło rozmiotło trwogę.

— Nie trapcie się nic... — poczęła Salka. — Bo kto wie jeszcze, gdzie Łukasz się udał... Czy to ino po Wisłę świat? Musiał pójść gdziesi dalej, skoro go tak długo nie widać...

— Słyszałaś, jak dziadek prawił... że od północy jakaś podmucha idzie... i kto wie, co w niej...

— Od północy... a on może na wschód się udał...

— Ja se też tak w rozumie oscymam, jak mogę... Ale nieporada lęku stracić. Coby było, jakby, broń Boże, on z niczem powrócił?

Ten lęk i Salkę zniepokoił. Lecz kryła go i przekładała bratowej, jak umiała, aby ją jeno pocieszyć.

Dzieci, nienasycone mlekiem, labiedziły i domagały się płaczem wieczerzy, dopiero matka, obietnicą, że ojciec jutro przyjdzie i przyniesie im chleba białego, ukoila je powoli, iż układały się na pościólkach swoich i usnęły.

— Co też ta mój Józus... — zbaczyła Tekla i łzami się zalała.

— Jemu tam lepiej, jak tym tu... Nie trapcie się. We młynie...

— Kto dziś co może mleć?...

— Przecie sie może trafi, choć z dalsza...

— O Saluś, Saluś!...

— Łączcież i dajcie głowie usnąć, bo was ten zgryzdoznaku zatrap. Przecie też uważujcie na się — ledwoście z chorości wstali...

— O — lżejsza chorość—wierz mi... Wtedy wszystko jakby sie ino śniło...

— Bóg da, że i to przejdzie... i wszystko będzie, jakby sie ino śniło...

Uścisnęły się na dobranoc, szeptały pacierz i pokładały się spać. Lecz zasnąć obie nie mogły.

Tekli przesuwwały się przez myśl słowa opowieści dziadka smutnemi obrazami. Te chałupy otwarte — ta kołyska — ci samostraceni na polach...

Nie widziała nigdy lackich nizini, a teraz wydały

się jej tak dobrze znajome... Przestrzenne równie, idące szerokimi zagonami od skupionych koło dróg osiedli, teraz w pustać posępną przemienione... Gdzie ongi żyto rosło — teraz ino rdzawa mszyca; gdzie ongi łan pszenicy się chwiał — teraz jakiś żółty i biały mech, jakby kto lekkomyślny mąki owsianej narozsiewał... Właśnie o takim polu mawiano, słyszała, że się na nim torbami dziady biły... Złe powietrze tak pole owarzyło. A na tem owarzysku, jak wkopany, stoi człek — postać człeka — w płótniance i w ciężkich butach... (tak Lachów wyobrażała) i patrzy w ziemię bez rady...

I znowu inszy obraz. Północna dal — ledwo uznana — za mgłą... Dal ta poczyna czernieć — i oczom przedstawiać się, jak chmura... Sunie ścianą — od ziemi do nieba... a niewiadomo, co w niej się kryje. Lęk serca ścina — i, owładniętej strachem, zdaje się, że już tuż na nią się wali...

Otwiera oczy i widzi okno naprzeciw. Widzi, że jest w chałupie. Odetchnęła. Odwraca się od ściany, pragnie usnąć — nowe obrazy na myśl się cisną... Łukasza droga rozpaczna...

Wyszedł z chałupy i idzie wsią na dół w ponurem postanowieniu. A ona za nim zdaleka, o jakie paręset kroków, tak, by jej nie zauważył... Gdy on staje — ona chowa się za drzewa. Gdy rusza — ona za nim... I tak wciąż go ma przed sobą. Dziwi się, że droga jej nieobca Zapomniała, że szła już za nim... myślą. I to nieraz. Po kilkakroć tę drogę zmierzyła. Wyszedł na gościniec — ona za nim polami koło drzew, sto-

jących przy fosie, by jej nie widział. Na gościńcu wyciągnął nogi w równy, żołnierski chód... Jakże ona nadaży za nim? Już ustaje... Na szczęście zeszedł z gościńca — idzie drogą jezdnią koło wody... Wciąż za wodą — jak płynie — ku dołowi... Ona już wiklinami może iść — bezpieczna, że jej nie ujrzy... Często podmyka się ku niemu blisko — i widzi tę głowę jego, zwieszoną od utrapienia. O nich to, ostatecznych w domu, się trapi... Ma już podejść ku niemu, powiedzieć: nie trap się... Ale się wstrzymuje. Jak spojrzy na nią tak, jak wtedy, kiedy brał Józka na służbę... Przypomnienie to żalem jej serca oblewa... Cofa się we wikliny i traci go z oczu. Za chwilę znów jej się wyłania — już na moście. Przeszedł most — ona przeszła przez wodę — suchymi stopami, jak we śnie. I już nie może go znaleźć... Gdzie, jak, którędy poszedł?... Darmo uwagę wysila. Próbuje zabiec mu — pędzi polami na przełaj — i wybiega na rówień podobną, jak w diadkowej opowieści...

Salce znowu usnąć nie dało pytanie groźne: co będzie, jak Łukasz z niczem powróci? Tekli rozradzała, lecz sama się trapiła wielce. nie miała siły bratowej powiedzieć, że w domu już nic niema. Mąka wyszła — główczaków samych jeść nieurada — jedyne to mleko, które dzieci zakrzepia. I usnąć jej jeszcze nie dał głód, który ją osłabił okrutnie. Od paru dni jeno makuch żuła, którego okraj znalazła we żłobie. Mleka bała się tknąć, bo ledwo dzieci niem ocyganiała, a chciała choć raz na dzień bratowej podać. Dzieci jeszcze, jak myszy, zawdy coś znalazły w polu do ogry-

zienia — Tekla, jeszcze w osłabieniu, więcej pragnienie niż głód uczuwała — ale ją to już głód napadał, jak wilk przyczajony; nieraz rzucał się na nią nagle i darł pazurami wnętrzości, że na głos chciało się krzyżeć; albo ziewem swem trującym mroczył i słał do omdlenia. Nie zdołałaby tych mąk cierpliwie przenieść, gdyby nie nadzieja, że to wnet minie... że Łukasz wróci z twarzą poweseloną — i wszystko się odmieni. Teraz ta nadzieja gasła w niej. Uparcie czepiała się myślą wszystkiego, ooby mogło otuchę przywrócić...

Jak Tekla mogła Łukaszowi do połowy drogi tylko towarzyszyć, a reszta już mgłą się jej stała, niewiadomem, w które Łukasz poszedł — tak znowu Salka tę drugą połowę drogi myślą odgadnąć chciała... Znalazłszy u Lachów tę samą nędzę, co i tu — podumał, że wracać nijak nie może... i poszedł dalej, kierując się tak, ooby z pod tego nieba ciężkiego wyjść na jaką przestrzeń widniejszą... Dniem i nocą podążał, rozpytując się spotkanych ludzi — aże natrafił na pierwsze w połu żyta... Serce mu zadrzało radością — ukląkł wśród pól i łzami Bogu podziękował... Tak Jozue się modlił, jest w piśmie, gdy napotkał ziemię obiecaną... Dalej nie mogła odgadnąć, co Łukasz potem począł... Jozue wrócił i przyniósł winne grona... Jakoż muszą smakować! Widziała jeno malowane, w biblii starej, jak dwaj wysłańcy na kiju je niosą...

Głód znowu począł jej strasznie dokuczać. Już ani myśli oderwać nie mogła. Wcisnęła usta w zagłówek i płakała pocichu. Naraz przezdalo się jej, że słyszy kroki poza ścianą... Serce nadzieją zabiło: pewnie Łu-

kasz... Podniosła się — ale przez okno nie nie mogła widzieć. Noc była czarna.

Tekla odezwała się z łóżka:

— I ty Saluś, nie śpisz?

— Nie...

— Zdawało mi się, że się coś tłukło w obejściu...

— I mnie się tak zdawało...

— Boże! Jakby też to on był... Idźno, wyrzej, moja ty — może wozem przyjechał, i trza światła...

Stąpania się powtórzyły.

Salka zaodziała się prędko, a serce jej łopotało: pewnie Łukasz... Ostrożnie uchyliła drzwi, by dzieci skrzypieniem nie obudzić i wyszła przed sień...

Nic nikany nie słysząc. Noc ciemna — chałup nie było widno... Wpatrzywszy się w mrok, zauważyła dalej w obejściu koło ścian stajni postać jakąś... Podeszła parę kroków — i rozpoznała Tomka. Miała przemówić, spytać się, czego tu łazi — ale zaświecił tak na nią oczyma, że się go zlekła i cofnęła się.

— No i cóż? Kto tam? — pytała szybko Tekla, gdy Salka wróciła z pola.

— Nikogo nima — skłamała.

I leżały już w milczeniu, choć obie nie spały, aż do rana.

Rano Salka, ledwo ogarnęła się i zmówiła pacierz, wzięła skopiec i poszła do stajni. Jakież było jej przerażenie, gdy, otworzywszy drzwi, zobaczyła, że krowy w stajni niemal...

Stanęła zmiertwiała cała i długo nie mogła przyjść do siebie. Wreszcie pojęła... Tem większa ogarnęła ją rozpacz.

— O Jezu! — jęknęła z serca, jak strzałą ranionego. Nogi się pod nią ugięły — iże jeno, że nie padła. Wsparta o odrzwia, stała w bezruchu bolesnym i patrzyła w przerażeniu na puste miejsce przy żłobie, gdzie wczora była krowa...

Poczem odeszła od stajni i bez myśli, jak w śnie ciężkim, wróciła do izby.

— Mleka! — zawołały dzieci.

Nie miała siły mówić — ni być w izbie nie mogła. Zawróciła i wyszła na obejście. Chwilę stanęła, zmagając się, by pomyśleć, co robić. Wreszcie wzięła postanowienie. Poszła ku chałupie Jantaszka i zaburzyła do drzwi, bo były zaparte z wewnątrz. Za chwilę w sieni ozwały się kroki i głos Danajki:

— Kto tam?

— Ja... Salka...

— Czego ci trza?

— Niczego, ino... czy jest Tomek?

— Hale! Usiedziałby... djabli go noszą...

— Każ je?

— E pewnie w karczmie z Gabrysiem i z tą pokraką. — Tak Jantaszka zwała... — Tam balują... A jakóż, Tekla pobaczyła się?

— Pobaczyła... — odrzekła bez myśli Salka i cofnęła się odedrzwi.

Chwilę podumawszy, podeszła jeszcze do Gabrysiów. Tam zastała jeno Cupryna w izbie. Siedział na zimnej nalepie i wył. Wyszła prędko i wracała nazad osiedlem. Skoro doszła ku swemu obejściu, gdzie droga poza okół skręcała do wsi — stanęła. Popatrzyła w okna izby... i poszła dalej — na dół...

— — — — — — — — —
 — — — — — — — — —

W mroku izby, koło nalepy, przy ogniu słabe rzucającym błyski, siedziały dzieci, wtulone w kąć i Tekla z dzieckiem uspionem na rękę.

Cisza panowała w izbie, jak i w całym nazewnątrzosiedlu. Nawet oddechy nie szmerzyły.

Ktoby znagła ujrzał tę gromadkę w mroku i bladym pbrzucie światła, pomyślałby, że ją tak sen uroczny — czuwającą — przysiadł... Takie w znieruchomiłych postaciach omdlałe znużenie i taką martwość szklana w szeroko otwartych oczach...

Na licach dzieci, zwróconych do ognia szklily się zaschłe łzy. Uplakały się przez dzień cały, ile jeno mogły i już je zmrokiem siła płakania odeszła.

Wtulily się za matkę w kąć i jakby zadrewniały.

Czuły niejasno, że coś się musiało stać dużego — jakaś okrutna przemiana — kiedy już płacz ich nic nie znaczy.

Był to pierwszy dzień — inny od wszystkich dawniejszych — w którym nic jeść nie dostały. Dostały ino obiecane, że tata przyjdzie na wieczór i da im chleba.

Przeto każdy szmer za ścianą wyławiały uchem i oczy miały skierowane we drzwi...

Tak samo Tekla — całą uwagę, ostatek myśli zbłąkanych i nadziei ku drzwiom posyłała...

I dla niej dzień ten był najokrutniejszym z dni, jakie znała.

Nie to, że ją płacz dzieci zgłodniałych do żalości

ostatniej przywodził, i nie to, że sama z osłabienia mało nie padała — ale że ją tak okrutnie, tak niemiłosiernie Salka zawiodła...

Gdy późnym ranem, nie mogąc się jej doczekać ani uspokoić dzieci, płaczące o mleko, poszła sama do stajni i obaczyła pustkę... naprzód wpadło jej do głowy, że może Salka wywiodła krowę przed podolem popaść. Poszła za okół — obesza dokoła budynku — wreszcie całe osiedle — i nigdzie nikany jej nie zobaczyła. Już ją to wielce zaniepokoiło. Może dalej pasie — pomyślała. I choć słabość ją mdlila, doszła aż do pastwisk. A gdy i tu jej nie znalazła, wróciła już w trwodzie. Jeszcze to miała spodziewanie, że może krowa się zganiała, i Salka powiedła ją. Ale skoro do południa nic nie widać było — wreszcie już i do wieczora — musiała biedna uwierzyć w nieszczęście. Przyszły jej zaraz na myśl owe nocne tłuczenia poza ścianą i stąpania (wyraźnie je słyszała). I gdy dalej nad tem poczęła się zastanawiać, szukając w przerażonych myślach zrozumienia tego tajemniczego zniknięcia, rozwinęło jej się samo — tak dowodnie, iż zrozumiała wreszcie... Tomek ze Salką — w zmo-wie. Bo czemuż, gdy wróciła z pola, i ona się jej pytała „kto tam“ — „nikogo nima“, odrzekła? I przypomniało jej się jeszcze, że kiedyś Salce, w dobrych latach, popchnięta sercem, krowę obiecała...

Wszystko to takie się jej stało przerażające, że, mimo już uwierzenia, wierzyć przecie nie chciała. Pobiegła do Jantaszków — burzyła do drzwi długo — lecz nikt nie wyszedł. Wróciła nazad — i coś jej się poczęło

w rozumie psuć. Mrok nastawał — i w duszy jej mrok panowanie poczynił. „Źli są ludzie“ — wyrzekła pośpnie. I poczuła wydobywającą się z dna serca, nieznaną dotąd ponurą złość. Ale ponadtem wszystkim, rozpacz była w jej sercu i w myślach.

Gdy tak przy skrzyni pod obrazami mrokiem przybita stała, nie mogąc ani się modlić, padła jej w uszy skarga dzieci: przypominały, iż obiecała im, że „tata przyniesie chleba“. Słowa te ostatnie zasłyszawszy, uwierzyła, że Bóg ją przez usta dzieci nadzieją krzepi — i, gwałtem myśli odganiając insze, tej nadziei się cała podała.

I oto siedząc teraz z dziećmi przy nalepie, zbita rozpaczą i trudami dnia, wszystką uwagę przymdlałą ku drzwiom posyłała...

Znużonej często czekaniem wpadała z boku myśl o Salce — i straszny żal, goryczny, w sercu się podnosił — lecz prędko opanowywała się i znowu całą myślą była w zmiertwiałem czekaniu — nasłuchując wraz z dziećmi zdaleka niewiadomych skądś płynących szmerów: a to szmerzyła krew jej serca w tej studni ciszy. Ogień przygasł — i zdawało się, że i izba sama, jak co żywego, nachylona w mrok, tak uporczywie nasłuchuje...

Naraz w tę ciszę wpadło z osiedla wołanie i śmiech sowy :

— Kuwik! Kuwik! Ho-ho-ho-ho!...

Dzieci wzдрыgły się ciałem i przytuliły się prędko do matki. Tekla, również stwożona, uspokajała je:

— Nie bójcie się. To sówka się odzywa,

— Sówka?

— Ptak taki. Siedzi na trześni, abo na okole...

Podniosła się i dorzuciła łuczywa na ogień. W izbie stało się jaśniej.

Za chwilę znowu doleciał głos sowy — ale już zdalsza. Dzieci już mniej się podrygły.

— Na trześni? — pytały matki.

— Nie, teraz gdzieś w sadzie. Uciekła.

— Uciekła?

— Musiał ją ktoś postrachać...

Przerwała, bo zdało jej się, że z obejścia doleciał ją odgłos stapań. Wytężyła słuch, lecz słyszała tylko młoty serca, radością i trwogą razem wzruszonego. Wreszcie rozeznała kroki. Ktoś szedł powoli — bardzo powoli — ku izbie. I dzieci również usłyszały. Wszystkie oczy zwróciły się na drzwi...

Drzwi od pola skrzypnęły — wreszcie rozwarły się drzwi do izby — i wszedł Łukasz.

Z postaci jego widać było, iż dalekie musiał obejść strony...

Pojrzał po izbie i napotkał sześcioro ócz, na nim z trwogą pytaniem zawisłych...

Postąpił w trudzie parę kroków i padł ze stękiem na ławę. Poczem odpasał trzos i cisnął go z mocą na ziemię. „Cwancygiery“ złote wysypały się i potoczyły po izbie...

A czując na sobie śmiertelnie złą pytanie ócz — wyjęknął głucho:

— Pomór...

PODMUCHA.

Podmucha zbliżała się...

Złe powietrze, dotąd zawiewami roślinność trujące, poczęło wybierać ludzi... Zdarzały się wypadki, rzadkie wprawdzie, nagłych i niespodziewanych zmierań, wśród objawów nieznanym ludziom dotychczas.

Ludzie stanęli wobec tych wypadków, jak wobec rzadkich, gradowych pocisków, poprzedzających burzę straszną — zlekli śmiertelnie w sercach i w osłupieniu czekający.

Dziwne rzeczy o tej zarazie szeptano. Człowiek nawiedzony przez nią skręcał się jak chrobak w bólu, zimno go trzęsło okrutnie, jęczał strasznie i w krótkim czasie bez ratunku zмирał I gdzie bądź napadła człeka — w polu, czy w chałupie — ani się spodzieć było. Żadne porady nic tu nie płaciły — zresztą i nie słychać było, żeby kto co radził. Tyle ino ludzie wiedzieli, że to zła strasznie zaraza, i bali się nablizać ku niej. Nieszczęsnemu, którego napadła, na kiju jeść podawano, abo i ostawiano go koniecznej śmierci. Każdy też więcej strachał się tego opuszczenia w bólu, niż samej tej śmiertelnej zarazy.

Dla chowania w ziemi tych od podmuchy zaraźnej

uśniętych (ustanowiono bractwo osobne grabarzy, z ochotników zebrane, których pojono gorzałką, iżby mieli odwagę zbierać padłych — i wybrano szerokie miejsce na Dziale — na cmentarz...

Osiedla zcichły w strachu, przyniżyły się, rzecz można, ku ziemi, by zawiewy powietrza złego nie zaważały o nie czarnym skrzydłem.

Rzadkie przecie przydarzały się, jak się już rzekło, wypadki śmierci nagłej. Więcej głód ludzi obalał. Od głodu snęli, jak muchy.

Gdzie bądź koło drogi napotkać można było uskwierkniętego człeka, jak ptaka na mrozie. Ale to już tak nie przerażało, gdy przeraźniejsze szło...

Do głodu miał czas naród wezwyczaić się, jak do konania powolnego. Trzy roki trwało. W tym miesiącu ostatnim najmocniej przecie głód przycisnął naród już półżywy. Jak skałą przysiadł — ani dychnąć. Jakby opanowanie walczył ze zarazą — już i śmierci gęste sprawiał. I jego jeszcze była góra.

Bydło, jakie powstało z wiesny, wybito i zjedzono. Obory stały pustkami. Już imali się ludzie rzeczy, których za jedzę nigdzie nie uznano. Mełli korę z drzew, do garści mąki przymieszowali garść drugą trocin lub popiołu, i z tego piekli placki. Przemysłność rosła, bo już nic gotowego nie znalazł człek, ino trza było przemyslić. Kto w tym okrutnym czasie myśl strachem ino miał zajętą, aby zmiertwiałą zgoła, padał... Głód go, zesłabionego, uśmiercał. Grzebił się też naród, chcący żyć, jako to mrowie na spalenisku. Co dopadł, co

uważał, że w tem śmierć gotowa nie siedzi, gryzł, trocinił i zjadał.

Od świętego Pietra-Pawła ustała ulga niejaka w tej męce. Nastały po lasach grzyby. Święty Pietrz-Paweł litując się narodu, nasiał ich więcej tego lata, niż po insze roki. Ludzie też gromadami chodzili po przylaskach — od świtu szli jedni przed drugimi i wyzbierowali. Zbierali wszystkie, które się dały jeść, na których ino śmierć trucizną nie siedziała—: sowy, pliszki, pazdury, siwki, tańculki, biele, kruwki, bordony, pociece, i wiele inszych nienazwanych. Truło się jednak sporo ludzi, którym głód zaćmił oczy i nie dozwolił rozeznąć naskich od „psich“. Zwłaszcza dzieci małoletnie snęły po lasach...

Przecie, mimo tych wypadków, głód się zasilil nieco. I lżej stało się w chałupach. Gdyby nie ten strach przed inszem...

— — — — —

— Każ macie swoich? — pytał Jantaszek, siedzący na progu, Tekli, która sama była w izbie z dzieckiem.

Popatrzyła nań mętnie, jakby ją kto niewidoczny zdaleka zagadnął, i nierychło odrzekła:

— On poszedł po sól... a dzieci zaś...

— Każ tę sól bierą? — pytał prędko, jakby mu pilno było się dowiedzieć.

— Od solarza.

— Od Józka, czy od Kantego?

— Nie wiem, moiście, kto teraz przywozi...

— Oba przywożą. Ten z Bochni, ten z Wieliczki. Z Bochni lepsza. Niema w niej ziemi, Jak krzyształ!...

Biegał po izbie oczami, jarzącymi się chorym ogniem, splotał raz po raz ślinę wychłną i mówił prędko, co nie było zwyczajem u niego.

— Ho! W Bochni są pokłady hrube na sto sążni. Nikt nie zgruntuje... Wyłamują tafle, jak szkło, cobyś się przez nie przejrzał... Każdemu radzę do Józka. Już się nie ocygani. Sól czyściutka...

— Kto wie, czy je dostanie... — wtrąciła Tekla. — Drogi zamknięte, mówią, nie puszczają... Tam pono mór...

— E hm, tak, tak... — zakaształ; oczy poczęły mu prędkiej biegać po izbie.

— A kaź Salka?

— Niema jej. Nie wiemy, ka... Łukasz się chodził zwiadować, przez trzy dni hladał za nią, tu i po dalszych osiedlach, ale nikto mu nie umiał powiedzieć. Jak poszła wtedy, kiedy nam krowę ukradło...

— Poczkaścież... to ja ją w karczmie widział...

— Kie? — żywo spytała.

— W ten sam dzień z rana, widzi mi się.

— No i cóż? Mówcież!

— No nic. Ja siedzę na ławie zwyczajnie, cli mię na wnętrzu, popijam, a ona wpada, ozgląda się i pyta się mie: „Ka Tomek?“ — „Czy ja go też, moje dziecko, widział!“ — odpowiadam. „Nie wiecie ka je? sumiennie?“ — „Na cóż tu sumientowanie?“ — padam. — „Nie wiem...“ No i wyszła. To, padacie, odtąd nie wróciła?

— O-że ja ją też mogła posądzić...

— Tomuś znajstował. Wierzcie. Nikt inszy, ino Tomuś. Jak i z temi ziemniakami... Wywiódł ka w las, uszlachcił i miał pojadać.

— Bóg go skarze za jej i naszą krzywde...

— Ho! Co mu tam, kie on ma teraz pański żywot. Pije se, śpiewuje se, aż sie ozlega...

— Przyczem-że je takim?

— Przy grabarzach! Tam tezraz najlepiej, wierzcie. Gorzałkę dają darmo, kielo który zechce — a cóż o resztę? Śmierć, to śmierć — wielka strapacja! Aby ino nic nie czuć nie myśleć... Ten strach najgorszy...

Popatrzyła na niego uważniej. Poznać nie mogła, że to ten Jantaszek, co tu dawniej przychodził labiedzić. Oczy mu gorzały dziwnie, w całej postaci niespokój, a spluwanie gęste do reszty czyniło go obcym.

— Panowie oni... Jeżdżą se, piją, śpiewają — a naród w strachu kryje sie po norach. Hej! żeby to tak mniej dwaścia lat... Teraz nie przyjmą. Darmo pytać, Tomuś, widzicie, wygrał terno: Sami go wezwali. Ten sie im zda — nie cofnie sie... Ho! bo tam trza sumienia twardego. Jak ino kto na tę chorość (tfu! niech ją ziemia...) zachorze, i widać już, że nima rady, to go bier osęką na gnojak, choćby żyw był, i... do dołu!

— Coż wy... — zwróciła się do niego Tekla z przerażeniem, dziecko na rękach usypiając.

— Ja nic... ino różnie sie trafia, mówię. Sumienia trza, jak stal. Nie każdy może... A coś chciałeś rzec... Nie macie wy co zagryźć... Tak choć na ząb... bo wicie...

— Dyćbych wam z duszy, ale niema nic, moiście...

— Tak, tak... skądby... ja wiem...

Oczy mu łzami zasły — ustał.

Tekla, huśtając zlekka dziecko na ręku, patrzyła w okno uparcie. Jantaszek, siedząc na progu, już nie spluwał, jeno połykał ślinę raz po raz.

— Mnie, wiecie, to najbardziej gorzy, że ta... niech jej Bóg nigdy grzychów nie odpuści!... że ta się zamyka przedemną. Nieraz do rana burzę się — nie puści. W karczmie też nie usiedzisz — bo co kto przyjdzie, to gorszą nowinę przyniesie... W polu strach — w chałupie wróg — i ka już teraz ma człek mieszkać?

— Jakież nowiny ludzie niesą?

— Złe same. Strach powiadać.

— Moiście, w mocy Boga wszystko...

— Tak, tak... I ja jak myślę. Ale nie sposób się strachowi ognać. Ta chorość (niech ją święta ziemia skryje!) okrutne czyni w ludziach wyrwy. Ani się spodziewe, gdzie kto kany... I nic chorość, ale najgorsze, co przytem... Wiecie? — zniżył głos do szeptu — na zarębkach gdowiec zachorzał, niby na nią... na tę chorość (niech się nie nazywa). To własne dzieci do sadu go wycisły i tam mu zdaleka jeść podawały, jak psu wściekłemu — aż skończył. A znowu w drugim miejscu... Staruszka matka poczęła się swijać, że ją na wnętrzu boli. To ją ostawili w domu — dzieci i wnęki — i poszli spać kainziej. Na drugi dzień z ciekawości któreś zajrzało przez okno. W izbie pustka... Dało znać że jej niema — weszli wszystka — a ta w piecu poswijana w kłębek — już skostniała. Do pieca zimnego wlaźła, coby się ogrzać. Bo to widzicie tak z tą zarazą...

Duchnie powietrze zimne, i na kogo padnie — już je śmierci oddany...

— A jakóż się to objawia? — pytała z dygotem Tekla.

— Naprzód mróz chyci około serca — człek się wije, jak ten chrobak przyciśnięty, ziemię drze — a potem lód zetnie wnętrzości — i koniec.

— Boże! ochroń nas... święta Rozaljo, patronko od złego powietrza...

— Z północy idzie od Lachów... Ale tu przecie rzadko jeszcze wrywa — na ślepo. Może obejdzie stroną. Już też dość naród pokaran głodem. I cięższych klęsk już znieść nie zdoła...

— O — człowiek więcej zniesie, niżli przecierpieć może...

— Wiem ja, wiem, bo i ja haw... Widziało mi się od roku, że już z nią nie wytrzymam — a patrzcie... Niechże to będzie na odpuszczenie wszystkich grzechów moich i... Własną chałupę zawierać przed nosem! Powiedźcie. Człekby chciał teraz pod ten czas nielutościwy ka w najgłębszy kąć się schować... A tu wyskaj na polu, jak pies.

Zgarbił się, zniżył i zszarzał, że go łatwo można było, nie widząc, przekroczyć — tak się stał porówny z progiem.

— Łukasz idzie — oznajmiła Tekla.

Jantaszek wstał, usunął się z progu.

— Co też niesie, ciekawych...

Wkrótce Łukasz wszedł do izby. Nie witając obec-

nych, ciężko spoczął na ławie, oddychał. Szerniał na twarzy, schudł, oczy mu równie szklily się niezdrowo.

— Soli niema — rzekł twardo. Nikt nie dowozi. Straże po drogach.

— Spodziewałaś się — szepnęła Tekla.

Jantaszek, stojąc koło drzwi, począł przestępować nogami, spluwać.

— Hm, tak, tak, nie opłaci się — mamlął prędko.— Kto teraz sól kupuje? do czego? Można się wreszcie obejść, wezwycząić... jakże... już trzeci rok...

Łukasz wiódł okiem zmętniałem po izbie...

— Każ dzieci?

— Na grzyby poszły. Już od południa ich wyziera. Nie dałaś im iść, ale się uparły, na gołąbki...

— Trza ich było nie puszczać samych! Nie wiesz, jakie trafunki...

— Dyć-ech im nie dała...

— Już śródwieczerz. Trza iść ponie.

— Ja pójdę.

— Siedź.

Wstał i zabrał się w pole. Za nim Jantaszek...

— Tak ono, tak, moiściewy — gadał, dreptając przy nim, by coś gadać. — Wszędy gdzieś cosi, ani sie człek spodzieje... jak z tą solą... Ale sie nie trapię o nie... jak dzieci... poleciały uzbierać... gołąbki im pachną... ba! żeby to były... ale dadzą sie ludzie ostać?... bordona nie uświadczy... gdzie! w tym czasie... To nic... karpielel zajęczych urwią... posilą sie... dzieci to lubią... kwaskowate...

Gdy doszli ku chałupie Jantaszka, ten przystał i począł burzyć do drzwi.

— Nie otworzy... ścieklina... Bóg mie skarał tą Danajką!... Co mie też, aj mie też...

Łukasz stracił Jantaszka. Skręcił miedzą i poszedł na przelaj przez pola ku przylaskom. Ślebodnie mógł iść nie obchodząc głowami zagonów, bo mało które obsiane były, a i na tych niewiele świtało. Osty ino złe zieleniły się na nich, jakby je jaki sąsiad zdrajca pochychnie po roli posiał. Zresztą ugór zaopuszczony, zblechowany mrozami rozwijał się, gdzie okiem cisnąc

Łukasz, doszedłszy pierwszych krzaków, przystanął i nadśluchiwał chwilę, czy nie dojdą go skąd głosy dzieci... Odzywał się głos jakiś w dalekich okrajach leśnych, lecz nie był to głos Walusia ani Anielki. Zresztą nic, nawet ptactwa nie słyhać było.

Zaniepokojony tą ciszą, zawołał głośno:

— Waluś!

Za chwilę znowu:

— Wa — a — luś!

Głos potężny poszedł po przylaskach, powtarzany coraz słabiej, aż zamarł.

Łukasz nastawił ucha, by wyłowić choćby daleki, słaby odzew — lecz ino serce swoje słyszał.

— Cóż to może być... — zniepokoił się na dobre. — Do chałupy nie wróciły, bo którądy. Chyba, że daleko zaszły zajęte szukaniem, i zachylenie je skryło.

Ile mógł głosu dobyć, zawołał jeszcze: „Waluś“. I po kilkakroć z przestankami dłuższymi powtórzył wołanie.

Lecz jeno echo samotne wracało.

Raz tylko z dalekiego okraja czy z pastwisk, przedało mu się, ktoś odrzucił:

— Haw! haw!

Mogła to być igraszka słuchu lub lekkomyślny żart grzybiarza. Lecz zniepokojonemu wieldze ten odzew słaby wydał się wskazówką.

— Może tam są, i ktoś uwiadamia...

Począł iść, kierując się w tę stronę, skąd odzew — zdało mu się — przywiął. A idąc lasem, nie szedł prosto, lecz czynił zakolenia długie i upatrywał pomiędzy drzewami czy ich gdzie śpiących nie najdzie.

Napotykał kerdele grzybów psich, muśzarki, psie bordony, psie pociece, sosnaki i wiele inszych; mnóstwo ich poobalanych, zgniecionych, jako i ślady stóp, chodniki prawie zdeptane, świadczyły nadto wyraźnie, iż przeszła tędy głodna zjedź i wybierała do cna, co było jadalnego.

Na wilgotnej, starszonej ziemi upatrywał małych stopek — niekiedy aż zadrzał w sercu ze wruszenia, bo mu się widziało, że je rozpoznaje... Wyraźnie drobne paluszki Anielci... Ale zaraz przychodziła mu myśl trzeźwa, że przecie tu sto dzieci mogło przejść, idący za grzybami: — jakoże ślady odróżnić?

W tem kołowaniu stracił pamięć, ku której stronie iść zamierzył. Staął i zastanawiał się — lecz zewsząd wątpienie wiało. Żadna myśl, pocieszająca wskazaniem, poradą jakąś, nie przyszła uspokoić strwożonego serca.

— Gdzie iść? Ku której stronie?.. Co im stać się mogło, że ani słyhu — jakie nieszczęście nieznanne?

Dzieci, dzieci! Poccożeście same poszły... Matko zła, żeś je puściła...

Gniew go porywał —: Gdy je spotka, to ukarze przykładnie, by pamiętały na drugi raz. I Tekli nie daruje. Ona tu najwięcej winna.

Lecz trwoga zalewała gniew, jak naremny deszcz zalewa wiatrę.

— Żeby choć ślad, gdzie poszły...

W nadziei, że usłyszysz jeszcze ów odzew daleki, zawołał przeciągle:

— Wa-luś!

I powtórzył we cztery strony — ostatnio, co miał głosu.

Znikąd nic już nie przywiało. Jeno echo jego wołania odeszło coraz słabsze, aż przepadło.

W bezradzie ruszył w las. Nogi ociężały mu tak przez tę chwilę spoczynku, że ledwo je włókł. Z trudnością wspinał się na wyższe garby — ale szedł uparcie naprzód, umykając rozpacz, która już nóg się czepiała.

Ileż deprzy nie złaził! Błąkał się po zboczach leśnych, po stromych ostrysach, po skalistych potokach, ponad urwiska — a myśl wyprzedzała go, zdyszana, zataczając się to tu, to tam, to znów rozpaczą obla-
piała go za kolana, aż ku ziemi przysiadła.

— Mocny Boże! — mówił se już we łzach — nie szukałby ja was teraz, żeby nie ten głód, co was z chałupy wygnał... Biedactwa moje... Gdzież to — począł rachować — już miesiąc, dwa, więcej, jak cud was dzierży. Ni strawy, ni zasilenia... To drzewo soki

z ziemi ma, by rośło, i trawa wilgoć ssie. A wam, biedactwa...

Była chwila, że przyszło mu do głowy, iż sam winien jest tej ich męki. Ojciec przecie. Gospodarz. I że za karę musi tak wiecznie ich szukać, tak wiecznie błąkać się po tych zboczach stromych, ponad urwiska...

Zmierzch spadał na las. Niższe wgłębiny już mraka zalewała.

Łukasz wrócił się ku okrajom, gdzie ugory się poczynają. Przyszła mu myśl, że kto wie, czy tu pasterze gdzie nie paśli i nie zajęli ich z sobą. Zabaczył że pasterze teraz nie pasają.

Zbliżał się ku krajowi. Niebo różowe z zachodu z poza drzew przeświecało. Jakby płachta ciężka — opadły z niego myśli rozpaczne. Stało mu się lżej.

— Dyc trudno miały pod ziemię wpaść. Zeszedłech cały las. Musiały przylaskami zbierać i pójść do domu przez pastwiska. Pewnie już w domu są, a ja sie tu trapię o nie...

Przyspieszył kroku. Nagle stanął jak wryty. W świetle, przedzierającym się poprzez zaplecia gałęzi, dojrzał w dolince koło pnia dwie postacie skulone...

Błysk radości:

— One!... Śpią. Posnęły.

Po odzieży już poznał Anielkę i Walka.

Przypadł ku nim... i aż na pień zatoczył się, podcięty przerażeniem.

— W takich skurczeniach cudacznym nie leżą dzieci, które śpią... Śmierć — śmierć!

Nie chciał, nie mógł uwierzyć. Osatał się z prze-

lęku i, schyliwszy się nad śpiącymi, świecami oczu przyjrzał się im zbliska.

Niestety, siność ich lic, widna przy naprószonem poprzez przerzedę lesistą poświatlu, wyraźnie krzyczała mu prawdę nieodpartą.

W niewierze jeszcze dotknął ramion jednego i drugiego, poruszał je zlekka, jakby się bał zbudzić — wreszcie potrząsł nimi silnie i zawołał głosem rozpaczonym:

— Waluś! Janielciu!..

Nie zbudziły się: ciała ich już skostniały.

Począł wtedy, klęcząc nad nimi, jęczeć zcicha i mamlać jakieś wyrazy żebrzące, dobywające się z trudem z przywalonego rozpaczą serca. Aż i ustał. Padł ciałem zesłabłem na korzenie pnia, i teraz oczy jego napotkały rozsypane po ziemi psie gołąbki, tak łudząco podobne do naskich.

— Temi sie struły — szepnęła myśl. I poczęła napoły martwemu wyrzynać na sercu obraz ich przedkonania: jako je śmiertelny jad na ziemię cisnął, jako się swijały po ziemi w bólu strasznym, drąc piar i mech piąstkami skurczonemi, aż w męce okrutnej skrzepty...

Zorza różowa za lasem przygasta, i przez szczeliny drzew padała już zmroczyła czerwień, a Łukasz trwał w zastygłej rozpacz na korzeniach pnia i patrzył krwawemi ranami oczu na skulone ciała dzieci, które w zmierzchaniu widziało się: śpią...

— Trza je ponieść — szepnęła mu obojętnie rada. I, jakby ziewając już z nudy, dodała:

— Jak?.. Prosto. Na plecach.

Dźwignął się machinalnie, stanął nad nimi — i długo tak stał, w opuszczeniu rąk, w zmarszczeniu czoła, jak człowiek, który usilnie przypomina, co ma czynić.

Schylił się wreszcie, ostrożnie podjął je dłońmi i na pniu usadowił, to uczyniwszy, zatoczył się zesłably, jak gdyby ten pień cały dźwignął. Następnie poddał się pod nie, jak pod brzemień, założył ich rączyny skostniałe na swe ramiona, i poniósł...

O niewymownie gniotące było to brzemień!.. Ledwo las ciemny opuścił i na ugoną przestrzeń się wydostał, a już osłabł tak, iż nijak iść nie mógł. Jak gdyby góra ziemi owisła mu na ramionach... Wszystek żal niewypłakany i rozpacz niewykrzyczana zwały się na serce, iż chwilami rzeził, jak zduszony. Za gardło raz po razie chwytały go ostre paznokty rąk, z mroku wypadających. W oczach stawały mu krwawe światła. To znów zstępował w mrok, wiejący grozą — jak w otchłań.

Ileż razy potknął się o darń! Jakby po grobach świeżych stapał... Ileż razy kolana same zgięły się — iż na klęczki upadał, długo nie mając myśli wstać; w końcu dźwigał się siłą-mocą i zdążał dalej przez mrok.

Tracił pamięć chwilami. Wszystko przeżyte zginęło, zaszło mrokiem — a przed oczami noc... Jedyne ta Golgota...

Przeddało mu się, że tak od wieczności do wieczności zdąża z tym przebolesnym ciężarem...

— — — — —
— — — — —

Tekla przebyła cały odwieczny w martwym oczekiwaniu. Dziecko usnęło jej na podołku, więc nie ruszała się z ławy, by go nie zbudzić; dziwnie rada była, gdy przesypiało głód, bo nie miała go już czem zasycić — pokarm zasychał w piersiach jako klej w uschniętej trześni.

Siedziała nieporuszona w bezmyślnym, nudnym czuwaniu, niby Troska zastygła, nad tą swoją dolą. Bała się naczemkolwiek na ziemi myśl zeprzeć — widziało jej się w trwodze serca, iż wszystko naznaczone wyrokiem zatury... Najchętniej chciała się czuć zawieszoną w mgle, w pustaci mętnej, gdzie nic wyraźnie się nie kształci, nic oczu obolałych nie przelęka.

W tem trwaniu napół-sennem, jako pytanie z rzeczywistości bolesnej, jedno ją nachodziło często: myśl o Salce...

— Gdzie ona może być? Co robi? Czemu tak znikła bez słowa?

Niewymownie ta myśl ją dręczyła. I nocy nie dawała jej spoczynku. Nieraz zerwała się ze snu — zwidziało jej się, że Salka burzy do drzwi, abo że puka do okna... Wzruszona biegła otworzyć i wołała imię kochane w mrok czarny... Daremnie. Rozdygotana, wracała z płaczem na pościel.

Posądzenie, żal, jaki zrazu do niej miała, rozwiały się, gdy Łukasz, dowiedziawszy się z jej skargi, co zaszło, orzekł twardo, iż Salka tu niewinna. Na Tomka zasię cały gniew obrócił. Odtąd myśl o Salce dołączyła się do innych, krających serce, jako ostry nóż.

Zmierzch począł spadać — na izbę naprzód — na okna mętniejące — na osiedle...

Teklę niepokój obleciał, czemu ich dotąd nie widać. Z ostrożnością złożyła śpiące dziecko do kołyski i wyszła za izbę wyrzeć.

Słoneczne zorze dnia gasły. Zmierzch się po polach rozsnuwał, iż zeszarały, jakby je pojęczyna kryła; a w zagłębieniach i opodalnych przylaskach już mrok się czernił.

Wróciła do izby. Lecz nie mogła chwili dłużej wybyć. Niespokojność ją wyganiała. Wyszła znowu.

I tak po kilkanaście razy wychodziła wyzierać, siląc wzrok, wypatrując — aże mrok zastąpił oczom. Wtedy przestała, zaparła drzwi ze sieni i roznieciła ogień na nalepie.

Dziecko poczęło się użalać płaczem, więc wzięła je na ręce i usiadła w kącie koło ognia. A niespokojność rosła w niej, falami biła w serce, iż tłukło się boleśnie. Do rozumu, mątem zajętego, cisnęły się pytania trwożące, jedne przez drugie.

— Co mogło zająć, że ich dotąd niema? Co mogą teraz w lesie robić? Przecie tam ćma. Czemu nie wracają? Jakie nieszczęście? Boże, odwróć... Gdzie mogą teli czas bawić?

Bała się dopuszczać na myśl jakichś odpowiedzi. A przecucie kleszczami ścisnęło jej serce. Ten mrok, ta cisza, ten ogień przywiodły jej na pamięć ów wieczór, gdy na Łukasza czekała... Coż może dobrego nadejść?

Wstała i poczęła chodzić po izbie prędko, prędko...

byle nie myśleć. Nie — i to na nic. Wyjrzeć jeszcze — może choć głos jaki usłyszy...

Złożyła znowu dziecko do kołyski, które kołysaniem na rękę usnęło, i wyszła przed sień. Podała słuch ku polom — cisza... Ciemność, że oczu wbić na parę sążni trudno. Obróciła się na osiedle — i mało nie krzyknęła z trwogi... Ze stodoły niedokończonej Jantaszka, z poza ścian, widno było ogień...

— Czy sie pali? Co to może być?

Wnet zmiarkowała. To Jantaszek, nie mogąc się doburzyć do izby, tam złożył watrę i nocuje...

Strach jednak cofnął ją do izby. Wracając, zaparła drzwi ze sieni.

Usiadła znowu przy nalepie. Skroń biła jej, jak w gorączce. W tej ciszy strasznej słyszała ino krew swoją tętniącą i oddech dziecka.

Za chwilę przypadł głos z osiedla, holokanie głośnie:

— Ho! ho!

— To Jantaszek dodaje sobie głosem śmiałości — pomyślała.

I znowu długa cisza.

Ogień gasł.

Lęk począł ze wszystkich kątów wyłazić ku niej...

Przyrzuciła drew na ogień.

Raptem kroki zadudniły przed sienią. Poznała chód Łukasza. Z trwożną uciechą pobiegła odeprzeć drzwi.

— Sam idziesz? A każ dzieci? Nie znalazłeś ich?...

— Wsunęła się koło niego do izby. — Cóż ty niesiesz?...
Aaach!!! — zakrzyczała strasznie i padła jak podcięta na ziem.

— — — — —
 Trumnę robił sam — jedną dla obojga. Siedział na środku izby na ławce i przy pobłyskach łuczywa strugał deski.

Tekla, zwinięta w kąt, patrzyła rozwartemi obłędem oczami na to dzieło — chwilami jęczała cicho, jak w okrutnym śnie.

Ogieniek na nalepie drgał — to się dźwigał płomykiem, to przygasał. Po izbie latały bez szelestu długie, czarne skrzydła — zwijały się i roztaczały.

Śpiące na ławie wiecznym snem dwoje dzieci nakrył zgęstniały mrok.

Długo trwała ta noc. Jak z otchłani, nie mającej dna, wiała z niej groza.

Pierwszy posiniec brzasku sparł się na szybach, kiedy Łukasz począł zbijać deski. Stuk młotka rozerwał ciszę, jak śmiertelny wystrzał. Tekla, trafiona w serce żywe jeszcze, jękała boleśnie.

Dziwnie obco rozległ się w tej grozą śmierci napełnionej izbie płacz dziecka. Płacz ten przywiódł do życia Teklę. Wzięła je ku sobie, a Łukasz kończył bolesną robotę. Szło mu sporzej, gdyż z okna rozszerzała się zarza na izbę.

W momencie pewnym opadły mu ręce — przezdąły mu się deski zalane krwią... Świtało.

Kiedy ułożył dzieci w trumnie i począł zabijać, Tekla zawyła dziko. Pojrzał na nią gniewnie — ucichła — i tylko, ściąwszy zęby, jęczała nieskończenie.

Dzień się już widny rozrobił, gdy Łukasz zadzier-

gnął powróż koło trumny, zarzucił ciężar na plecy i wyszedł. —

Jęcząc wciąż, postępowała za nim Tekla. Odprowadziła go za osiedle i tu zatrzymała się. Przechodziła jej się w oczach, krwią i łzami zasłanych, gdy, stojąc długo już, patrzyła za nim, że je za rączki prowadzi... Postępują koło niego mało widne, jak duszyczki mgliste. Odchodzą w świat — i już na wieki.

— Waluś! Janielciu! — zawołała całą rozpaczą matczyną. Wierzyła przez moment, że je tym głosem jeszcze wróci.

Łukasz nie obejrzał się. Szedł zrazu drogą jezdnią, spadającą przez gronik, zarastający smreczkami. Minał potoczne wyrwiska i, wydostawszy się na równiejszą przestrzeń, zoczył na ścieżkę, wiodącą przez ugory na Dział.

Tam fundował się cmentarz. Zdaleka widne były kopce czerwonej, świeżo wyrzuconej ziemi. Bolały Łukasza srodze, gdy patrzył w nie, jak świeżo zadane rany.

Pustka ugorna przestrzeniła się dokoła. Na szarej tej calźnie jedynie parę nędzarzy — świerków i ten krzyżący płat pośrodku...

Cisza dławiąca przywalała te tłoki bolesne. Ni śladu głosu, ni echa... Z osiedli opodalnych, w zachylenia i zagórza skrytych, żaden też postuk nie dochodził.

Łukaszowi nogi ociężały, jakby przez piachy brnął. Wlókł się z trudem ogromnym przez tę pustkę — ku onej Golgocie krwawej, ku onym kopcom dalekim, które na skłonie nieba jako krzyk czerwony rosły.

Więcej niż trumna ciążył mu skamieniały ból, tło-

czący serce. Czuł, że się już nie dźwignie ten kamień. Przywalił, zamknął źródło łez, iż kropla się nie wydostanie. Och, żeby móc zapłakać!... Z nienawiścią pomyślał o Tekli, której płacz ulżywał męki. Spoczął na miedzy i powiódł skazańczym wzrokiem po tym okrutnym świecie...

Słońce czerwone mżało we mgle, jakby się miało ćmić. Wysoko, na pochyleniu zbocznem, niedaleko przy-lasków i pastwisk rdzawiło się jego osiedle, Jamrozowe. Popatrzył na nie męką oczu — zobaczył też poza osiedlem nieruchomą, jako słup wkopany w ziemię, postać Tekli...

Zabrał się i ruszył dalej.

Gdy mijał ostatni potok, przyszła mu niespodziana myśl, że się tu ze Salką spotka. Skoro wyjdzie z potoka, zobaczy ją, zjawioną z poza zachylenia, dążącą chodnikiem spieszno, zadyszana, strachem bolesnym zbladła.

— Pewnie ją wieść powietrzem doszła... Jak ona się opiekowała niemi — jak matka.

Przezdąło mu się w uszach, że słyszy już jej szloch. Wyszedł pospiesznie, lecz nikogo przed oczami... Zdala dolatywało jakieś śpiewanie chrapliwe.

— Grabarze — powiedział ktoś obojętnie.

Łukasz przystanął i obejrzał się pytająco na niewidocznego towarzysza, poczem przełożył trumnę na drugie ramię i ruszył.

Śpiew pijanych grabarzy rozrywał brutalnie ciszę i w tej pustce był jak wycie wilków.

— Jakież to wszystko dziwostworne, głupie...

W sercu przeboleiałem idącego podnosił się gniew, owem holokaniem nieludzkim drażniony, tem zawziętszy, iż nie mogący w nic uderzyć, prawie do osłabienia przywodzący.

Zęby zacinał z wściekłości i posyłał w milczeniu w przestrzeń obojętną przekleństwa — razy — bicze...

— Kogoż to dotknie? — drwiła pustka.

Już ani iść z niemocy nie mógł.

Sródpoluń był, gdy się dowlókł na Dział. Przedrewniały w uczuciu, szedł obojętnie wśród zaschłych, czerwonych kopców, potykając się na darylach — ku stronie, gdzie świeżą ziemię widać było. Jedna myśl tylko dygotem go przeleciała:

— Ileż tu tego...

Natrafił wreszcie przy okraju na wykopany dół. Złożył z ramion trumienkę, odpoczął i jął właśnie spuszczać ją do dołu, gdy nadjechali grabarze.

— Kto tu? — ozwał się z bliska głos ostry, po którym Łukasz poznał Tomka.

Nie odpowiedział, nie podniósł nawet głowy — kończył smutną robotę.

— Patrzcie, on se tu grób harenduje! — krzyknął Tomek do towarzyszy. — Wara od dołu!... — stanął z groźbą nad nim.

Łukasz podniósł się w milczeniu i, jak wilk, skokiem rzucił się na Tomka. Dołapał go za gardło i począł dusić.

Ten, opamiętawszy się począł się zaciekle bronić; wnet też wyswobodził szyję z krwi chciwych szponów Łukasza. Wodzili się czas jakiś po trawniku, aż, po-

łknąwszy się na kopcu, padli razem na ziemię. Teraz poczęła się walka zawzięta, tem zawziętsza, że równej byli siły. Co który wy dostał się na wierzch, wnet znajdował się na spodzie. Walczyli w groźnem milczeniu. Dyszenia jeno krótkie i trzaskania prężonych stawów słyhać było.

Grabarze, ciekawością zbliżeni, postanęli przelękli — widzieli, że to nie bitka zwyczajna, ale walka na śmierć i życie, i że niemałe muszą być ku temu powody. Głupawemi spojrzzeniami wiedli za nimi, gdy się ci tarzali po ziemi i tłukli łbami o kamienie.

Aże niespodzianie walczący, zatoczywszy się na grób świeży, wpadli razem do dołu... I tam się bić nie ustawali. Wtedy strach przejął grabarzy: skoczyli ich rozdzierać.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Od dnia onego pogrzebu coś w Łukaszu zaciekło się. Chodził chmurny, szerniały, jak noc. Słowa do Tekli nie przemówił. Ona też nie miała woli gadać. Snuli się w chałupie koło siebie, jakoby się nie widzieli. Równie nie było powodu do gwary, bo spólność bytowania straciła się — ogień na nalepie wygasł.

Każde żuło głód osobno. Telo, że się tej izby trzymali. Gdy nastawała noc, Tekla z dzieckiem kuliła się w jednym kącie, Łukasz w drugim. Obojgu zwiadywała się trumna na środku izby i stawała przegrodą czarną między nimi. Ta przegroda miała się jeszcze powiększyć.

Jednej nocy, a raczej późno z wieczora, bo się

kładli spać ledwo zmrok zapadał, coś zaburzyło się do drzwi nieśmiało i zaskuczało żałościwie.

Oboje, Łukasz i Tekla, znaleźli się przy drzwiach.

Łukasz odsunął zaporę. Do sieni wtoczyła się postać mała, w łoktusę otulona.

— Józus! — krzyknęła wzruszona Tekla i chciała go przygarnąć ku sobie.

Łukasz odtrącił ją silnie, aż się na ścianę zatoczyła, porwał dziecko za ramię, wypchnął w pole i zaparł drzwi z nawrotem.

— To ty własne dziecko...

Głos jej się złamał w krtani. A gdy się ozwał płacz Józka, rzuciła się ku drzwiom...

— Waruj! — krzyknął groźnie Łukasz.

Odczuła w mroku pięść nad sobą... Już jakby na nią spadła... W proch złamana, cofnęła się ode drzwi.

Przeczekał, aż wróciła do izby — wtedy wrócił i on do kąta swego.

Groza milcząca zaległa dom. Z pola jeno dolatywało czasem skuczenie, niby płacz pieska, na słotę wyrzuconego. Wreszcie ustało.

O świcie, gdy Łukasz wyszedł, znalazł za progiem Józka zwiniętego w kłębek — śmierć go tak, jak chrobaka bólem przebitego, odeszła.

Staął ojciec nad dzieckiem swoim, skamieniały.

Poczem kat na tortury wziął jego serce: wyrzut-
zar, nigdy nieugaszony.

— Dy ja... Dy ja go na służbę... coby nie dać

pobłogi... tu głód... — bełkotał szeptem, jakby się przed Teklą sprawiał.

Nie zmałał wyrzut-ogień po tych słowach.

Już o trumnie nie pomyślał. Nie wstąpił nawet do izby. Jak był bez kapelusza, wziął go jak kawał drewna na ramię i poniósł...

I już nie wrócił tego dnia ani następnych do chałupy. Przystał do grabarzy.

We świat...

Kiedy w owe rano nieszczęsne Salka minęła dom, myślą jej sturbowanej głowy było: szukać Tomka i nie spocząć, pokąd zła nie naprawi.

Z tą myślą podług wskazania Danajki udała się do karczmy. A skoro go tam nie zastała, ani dowiedzieć się nie mogła, gdzie się znajduje, wyszła na drogę i stanęła w bezradzie... gdzie teraz iść —

Czy wrócić i oczekiwać, aż się zjawi w chałupie?... Czy błąkać się tak, pokił go nie spotka?... Czy też iść od osiedla do osiedla i pytać się ludzi o niego?

Wszystko, co jej nieporadna myśl nasuwała, nie miało widoków powodzenia, a równie wszystko było przykrem, jeśli nawet spełnionem być mogło. Jednak rozważała w strapionej głowie te rady, chcąc koniecznie, jeśli nic innego nie nadleci, coś z tego konać.

Wrócić?... I jakże się bratowej na oczy pokaże? Na te kochane, boleściwe oczy... Jezus! Przyszło jej na myśl, co bratowa może sobie pomyśleć, że ona wychodziła w nocy i, wróciwszy, uspokoiła ją, że nikogo niema na obejściu.

— Jak zajrzała rano do obory i ujrzała tam pustkę... pomyślała se pewnie, że ja z Tomkiem w znowie!

— Ale nie — uspokajała się — tego by zaś nie pomyślała. Przecie zna moje serce. Ino że to tak dziwnie się zeszło... i że on... O Boże! odmień...

— A Łukasz? — Aż zadrżała na myśl, co Łukasz powie, jak wróci. No, onby jej już do chałupy nie przyjął — za Tomka.

Nie, za nic w świecie nie wróci teraz tam — postanowiła — aż zło odrobi... Ale jak? Błąkać się, szukać... czy go spotka? Żeby choć znała kierunek, gdzie się mógł udać.

— Mógł poprowadzić gdzie na jarmark... Nie, teraz jarmarków nie ma. I coż mu zresztą z pieniędzy w tym czasie? Prędzej w las gdzie zaprowadził. Musiał spólnika mieć... Ale gdzie szukać? Las naokół...

— I pewnie już po krowie — dodała myśl zrozpaczona.

Najpewniej byłoby obwołać po wsi. Ludzie by się rozlecieli... Ale jakże—jego obwoływać! Naródby zgruchnął, i byłby sąd...

Obłęd głowy się chwycił — tak bolała okrutnie, i nadtem więcej, że to on...

— Niech już Bóg sam karę mierzy — pomyślała.

Z tego wszystkiego postanowiła iść przed siebie i spytywać się po drodze, czy go kto nie widział.

— Może traf jaki szczęśliwy naprowadzi...

O więcej głowy nie łamała. Jak ino odszuka go, wszystko się naprawi. Stanie mu sędzią imieniu bratowej, dzieci... Mocą, którą w sobie czuje, mu nakaże...

Ruszyła ku najbliższemu osiedlu.

Jeszcze nie doszła chałup, które wystąpiły ze mgły

przed jej oczy — bo na dopłatek mglisty był ten dzień — gdy napotkała przechodzącą znajomą „stryjną“, jak zazwyczaj starsze kobiety zwała.

— Nie widzieliście też Tomka? — zapytała.

Kobieta popatrzyła na nią dziwnie, jakby jej nie poznała. Salka nieśmieiej już powtórzyła pytanie.

— Wstydź się. Samej za Tomkiem latać... — powiedziała ostro i przeszła.

Salce jakby nogi podcięła ta obelga. Osunęła się na belkę przydrożną i zaszłochała.

— Sprawiedliwie... — powtarzała sobie w płaczu. Aż jej się lżej stało.

— Pewnie, że tak mię wszędy przywitają... A powiedzieć im, że Tomek ukradł krowę i że go skrós tego szukam...

Ponownie szloch ją zdławił.

— Bóg mię skarał za grzech...

Mgła zeszła aż ku jej stopom i owinęła ją, jak szara przedza, a ona nie zahamowała się w płaczu. Wypłakiwała przy tej publicznej drodze miłość swoją...

Jakże się okrutnie zwiedła! O czemuż nie ufała słowom Łukasza-brata!

Gdy po tym wyrzucie płaczu uspokoiła się niejako w sercu, zagadnęła ją myśl-troska, czekająca cierpliwie na to zmęczenie jej ostateczne:

— Co teraz czynić?

Nie umiała nijak tej trosce odpowiedzieć. Widziała jeno mgłę przed sobą — czyby ona istotnie była, czy nie.

— Już widać niema rady.

Chciała domowi pomóc. Chciała to zło naprawić. Lecz wszystko stanęło zawadą przeciw woli jej serca.

— To już widać Bóg tak chce. Bóg skarał ten dom za mnie i za niego.

Długo siedziała w martwości myśli, jak w zaćmieniu. Nic nie widziała, ino mgłę — mgłę — przed sobą, dokoła i w sobie. Jedno szare jezioro dokoła sieroty-brzozy... Zatopiło tę nędzę-dolinę, iż zdaje się oczom domęczonej duszy: nic się nie staje, ani się nie stało... Wszystko jakby sen-majak... Telo ino, że ogromnie smutno. Już ani płacz nic nie płaci.

Wreszcie jakoby z dna skałą zgniecionego serca poczęła się dźwigać przytłamszona wola i zbudziła myśl jedną, która już dawniej zrodziła się w jej schwierutanej głowie, w chwili osobliwie ważnej, gdy poczuła się matką...

— We świat...

Zaczęła się tej myśli śmiertelnie znużonymi oczami przyzierać i przykiwnęła głową.

— Prawda. Nie powinnach im miejsca zastępować. Łukasz wróci lada dzień...

Nie tak łatwo jednak serce przekonała. Tkwiące w niem, jako strzały, zwątpienie i trwoga poczęły się odzywać.

— A jak też Łukasz nie wróci? Już teli czas, jak poszedł. Albo jak, Boże nie daj, wróci z niczem? Jako-że ich w tej nędzy ostawi?

— To coż ja im, biedna, pomogę? Choćbych i była przy nich. A zawdy ten wyrzut będzie, choćby niepowiedziany, że to przeze mnie to nieszczęście ich spot-

kało. Nie, nie zniesłabych... Pójdę, pokąd nie znajdę krańca nędzy... Przecie być musi... Wtedy ich wybawię.

Aby przerwać wszystkie odrady, których się poprawdzie trwożyła, wstała i poczęła iść na dół...

Przyszła jej myśl troskliwa: czyby nie wrócić po chustkę do domu? Ale odsunęła ją prędko. Niech już najgorsza niewygoda, byle nie te oczy pytające... Już ją dość bolą, choć je tylko w myślach widzi.

Gdy przechodziła obok karczmy, popchnęła ją resztką nadziei zajrzeć... Lecz, uchyliwszy drzwi, zobaczyła jedynie Jantaszka, niewinnie kiwającego się nad próżnem półkwarcem.

Wyszła zpowrotem na drogę i wzięła już mocne postanowienie: iść. Popatrzyła jeszcze ku tej stronie, gdzie miarkowała we mgle osiedle Jamrozów i wyrzekła:

— Bądźcie zdrowi, bratowo i wy dzieci... Niech was Bóg, Matka najświętsza, mają w swojej opiece.

I przeżegnawszy się ruszyła na dół.

Z początku szła prędko, pędzona obawą, aby ją za coś nie przywróciło. Lecz gdy uszła już kawałek spory, osłabienie poczęło ją przywalniać. Głód, przez zgryz i zmartwienie większe przytłumiony, począł ją teraz srodze nękać. W nadziei, niemającej już w rozumie żadnego poparcia, obzierać się poczęła na chałupy, jak je po drodze spotykała. Mgła się podniosła, to widne były oczom.

Ale nic pocieszającego nie wróżyły. Od deszczów oczerniały, o dachach przegniłych, zaniedbane, stały milczące jakby życia nijakiego w nich nie było. Ani

krzątani w zwyczajnej w osiedlach, ani głosu. Nawet pies nie zaszczekał.

Trwoga jeno szła od tych chałup, myśl-obraz: pokotem z głodu leżących, po zapieckach pozwijanych albo i pośniętych wiecznie; to też z drzeniem serca je mijała.

Nareszcie koło jednego osiedla, opłotkami do samej drogi przylegającego, napotkała kobietę, nieruchomo przy płocie stojącą, na dół, na drogę zapatrzoną.

Przechodząc mimo, pochwaliła Boga i poznała ją jako znajomą. Ta, odpowiedziawszy „na wieki“, spytała smutno:

— Każ idziesz, Saluś?

To proste pytanie strwożyło Salkę, jakby ją kto w jakim złym zamiarze doszedł. Nikt nie wie, że idzie we świat. Ma-ż jej, mało znajomej powiedzieć i sprawać się, poco i dlaczego. Skłamać znowu doznaku?... Odrzekła przeto:

— Naprzeciw brata idę. Poszedł we świat...

— Tak i mój... Od tyżnia już go wyzieram. Usycham z niepokoju i z czekania.

Salka bratową wspomniała i stanęły jej łzy na oczach.

— A wy tam... macie co jeszcze?

— Moiście... pytajcie sie...

— Tak i haw... Ostatnia w nim nadzieja... Ja jeszcze, jak ja — to se choć oscymnąć potrafię. Ale dzieci o płaczu trwają i o głodzie.

Salka nie mogła słuchać dłużej. Doznaku jej się przedstawiło, że ta kobieta o bratowej mówi i o jej

dzieciach... Żal straszny za niemi, przytem trwoga, skąd ta kobieta może wiedzieć, jakby akurat patrzała na to (czy Bóg ją natchnął? Już mał się głowy chwyta—) przejęły ją tak, iż poczęła iść bez słowa...

— Może zanocujesz? — wstrzymało ją pytanie. — Bo już będzie śródwieczerz...

— Nie — odrzekła, siląc się na spokojność. — Chciałabym jeszcze ujść drogi trochę za wideka. Ostańcie z Bogiem.

I przeszła.

Teraz głód rzucił się na osłabioną, jak zwierz drapieżny. Darł wnętrzości pazurami i słał tak, iż potaczowała się, jak pijana. Parę razy usiadła przy drodze, ale jeszcze bardziej ją słało odpocznienie. Zbierała się całym wysileniem woli i szła dalej.

Rozglądała się dookoła, czy czego nie wypatrzy. Ale nic nie podpadało żerowi jej oczu. Zrozpaczona, miała już wejść do której z chałup. Na czas jednak zastępowało jej przekonanie, że tam nic nie znajdzie. Daremny trud...

Zresztą i chałupy koło drogi się straciły; było jeno widać z dala samotne, pozawodne. Mijała wieś.

Właśnie dochodziła ku figurze granicznej. Zdala już zauważyła postać leżącą — wydało jej się — krzyżem przed figurą. Skoro bliżej nadeszła, zobaczyła z przestraczem, że postać owa leży nawznak, twarzą ku niebu. Dziadek suchutki, jak Paniezus wystrugany z drewna. Widocznem było z drogi po oczach zbielałych i po siności lic, iż śmierć już dawno na nim siadła.

Przeżegnała się, zmówiła „Wieczne odpocznienie” i przeszła. Strach ją popędzał. Niedopuszczana, wciskała się gwałtem do mózgu myśl, niby ostrzenie kosy:
— Głód uśmiercił...

Poczęła wbrew spodziewaniu, a z wiarą, pilnie upatrywać po drodze, czy czego nie najdzie, coby się dało jeść. Napotkała trzaski strugane koło drogi. Przyszło jej na myśl, że ludzie z trumien traski wynoszą ku drogom. Nic ją to jednak nie cofnęło. Podjęła jedną i poczęła gryźć i ssać żywiczny z niej sok. Uczuła, że ją to krzepi. Więc wzięła więcej na drogę.

Potem zeszła z gościńca i upatrywała jadalnych traw. Próbowiła listków podobnych do mlaczu, były jednak w smaku mdłe, bała się ich jeść. Zresztą nic nie znalazła. Ugor otaczał drogę lub tłok, o dawno zmarniałej ścierni.

W jednym takim tłoku w miedzy nieopodal od gościńca zobaczyła gruszkę-dziczkę. Pchnięta jakąś nadzieją podeszła ku niej i — dziw! — wypatrując, dojrzała kilka gruszek drobnych na niewysokim konarze. Dostała je bez trudu, były cierpkie, ale jej były słodkie, jak rajski owoc. Wypatrzyła jeszcze parę, i potem jeszcze — wreszcie, przepatrzywszy całą, i wiedząc, że już nic więcej nie najdzie, odeszła. Więcej te gruszki na duchu ją skrzepiły, niż na ciele.

— Bóg pamięta — myślała z otuchą. — Widzi ci się, że już koniec, a tu nie wiesz, skąd przyjdzie poratowanie.

Wchodziła do wsi sąsiedniej. Nie była tu, jak małą dziewczyną na odpust szła. Więc poczęła się rozglą-

dać, w słabej nadziei, czy jakiej zmiany na lepsze nie dojrzy...

Niestety i tu tak samo. Osiedla w strachu zciszone—ludzi nie widać na obejściach — a jeści się kto przesnuje, to jako cień.

W środku już wsi napotkała sprawę nową: kilkoro ludzi-nędzarzy przy opłotkach, a opodal istna Rozpacz — niewiasta o warkoczach rozpuszczonych, o za plecionych poza szyję dłoniach, idąca w zawodzeniu głośnem gdzieś w przestrzeń, ku ugorom.

— Ostatnie dziecko jej umarło. Tego lata już troje schowała — objaśniali dobrzy ludzie, gdy przechodziła mimo.

Poza wsią droga odchyłała się od wody i podnosiła się zakoleniami pochylnemi na dział. Zmierch zniżał się nad ziemię, gdy Salka szła do tego działu.

Na drugim skřęcie, niedaleko od drogi, w kamienistym hyrcu pastwisk ujrzała ogieniek, złożony z kur-laczków, i przy nim dziadka, leżącego w swinięciu podobnem, jak gdy kto swija się z bólu. Uderzyło ją to dziwnie.

— Coż wy tu dziadku, robicie? — spytała.

— Grzeję się — odrzekł z jękiem.

— Czy wam tak zimno?

— Na wnętrzu lód...

I jej serce lód przejął na te słowa. Słyszała, jak powiadali: Naprzód chyci zimnica, potem ból... Nic inszego, ino o n a !... Chcąc się jeszcze upewnić, spytała dalej:

— To was tu z chałupy wyciśli?

— O! tu wyciśli... Właśni synkowie... ojej!

I począł jęczeć i swijać się, jak chrobak.

Salkę wtedy taki strach napadł, jakby zwierza zaczajonego ujrzała koło drogi. Poczęła biec pod górę...

— Ho! nie uciekniesz! nie! — goniły ją urągliwe słowa i jęk naprzemian.

Strach jeszcze większy ją popędził. Ani nie wiedziała, jak się znalazła na działę. Tu przyszło jej opamiętanie. Poczęła sobie czynić gorzkie w sercu wyrzuty, iż tak się z umierającym w bólu zaobeszła, że mu nawet słowa pocieszenia nie dała.

Przeszła dział drugi i w zmroku już schodziła na dół. Ujrzała w dole światła błyskające, jak świętojańskie robaczki na cmentarzu. Stało się jej lżej, strach ją odszedł, gdy się czuła blisko ludzi.

Żyją, skoro świecą — pomyślała. I naspieszała, aby dojść do wsi, nim pogaszą.

Nareszcie pierwsze domy poczęły się wyłaniać u stoku schylenia. Minęła jeden i drugi, gdzie się nie świeciło — i naraz stanęła w zdumieniu. W trzecim jakoby wesele się odprawiało... Muzykę słychać — śpiewy — tupoty nóg!.. Wśród ciszy powszechnej ta chałupa była jak taniec na cmentarzu.

Podeszła bliżej — zajrzała do okna — i odskoczyła przerażona. W migających twarzach dojrzała pijany obłąd.

— Ci ludzie poszaleli. Albo też chcą zagłuszyć strach... — myślała sobie, pospieszając wartko drogą, by jak najprędzej stracić tę ohydę.

Wieczór coraz głębszy zachodził. Światełka przed

nią gasły, jak latarki, wiatrem zdmuchiwane. Szła już znużona bardzo, utykając się na kamieniach. I głód ją słał. Zamarzyła o spoczynku, o śnie-wybawicielu.

Z tem marzeniem skręciła ku najbliższej chałupie, gdzie migąło jeszcze światło, i zaburzyła do drzwi. Niezadługo ozwały się kroki w sieni i głos kobiecy:

— Kto tam?

— Ja...

— Czego chcesz?

— O nocleg proszę...

— A skąd-eś ty?

— Z trzeciej wsi idę...

Kobieta wróciła do izby... Słysząc było półgłosną rozmowę, choć słów nie można było powiązać uchem. Widać naradzano się.

Salka czekała cierpliwie, modląc się w duchu, żeby ich Bóg natchnął dobrą chęcią.

Za chwilę wyleciał głos kobiecy ze sieni:

— Nie puścimy.

— Nie, to nie — powiedziała sobie Salka i odeszła.

Niedaleko spotkała drugie światło, dalej od drogi. Podeszła tam, trzymając się opłotków, i znowu zaburzyła. Tym razem chłop się odezwał z progu izby:

— Kto sie tam burzy?

— Ja... Proszę was, dobry człowieku, o nocleg...

— Teraz sie nie nocowuje.

Salka też już nie prosiła. Wróciła na drogę, myśląc:

— Przecie jeszcze znajdę ludzi, co nie będą żałować tego kąta...

Minęła kilka chałup, w których ciemno było. Na-

trafiwszy wreszcie na światło, zbliżyła się i poczęła kłapać do drzwi, ale w tym momencie światło zgasło.

Zabolało ją to wielce, i już nie burzyła więcej. Poszła dalej.

W czwartem miejscu jeszcze gorzej ją przyjęto. Ledwie zdołała odpowiedzieć, że o nocleg prosi, gdy ze sieni zakrzyczał głos ostry:

— Ja ci tu dam nocleg! Idź precz ode drzwi! Słyszysz? Bo jak wyjdę... Kto wie, z jakim ty powietrzem... Chcesz wytruć mi chałupę?

I dużo jeszcze słów podobnych miotał, których Salka już i nie słyszała, bo zalała się łzami i odeszła. Żalność ją okrutna przejęła. Ulżyło się jej dopiero, gdy się wyplakała.

W goryczy serca postanawiała już nie wstępować nigdzie, iść choćby w las gdzie, a ludzi nie prosić.

Jednak gorycz nikła w miarę, jak słabość ją opanowywała. Pięć chałup minęła w tem postanowieniu, przy szóstej się zawahała, a do siódmej się obróciła. Już się nie świeciło. Nie zważała jednak nato i poczęła burzyć do drzwi. W izbie coś się poruszyło, ale nikt nie wychodził otwierać, ani pytać. Powtórzyła parokrotnie burzenie i, nie mogąc się doczekać skutku, poszła dalej.

Rozpacz ją już poczęła ogarniać.

— Padnie mi na polu zostać. Żeby to choć w znajomem miejscu... Gdzież tu ułożyć głowę? Uskwierknę, jak ta mucha na zimnie.

Nabrała jeszcze śmiałości i poszła burzyć dalej. Prosiła na wszystko, przekładała;

— Dyc ja wam nie zajmę miejsca, ino tę głowę zepnę na ławie... *Puście...

Ale nikt nie miał woli jej odpowiedzieć. Jakby kamiennym snem spali.

W ostatecznej determinacji podeszła jeszcze do jednej chałupy. Postanowiła bądź co bądź już nie ustąpić i potąd burzyć, aż się kto odezwie — a wtedy muszą jej otworzyć.

Chałupa ta stała samotnie — ani obejścia koło niej, ani stodoły. Nie wyglądała na zamieszkałą. Nato jednak w tem położeniu nie baczyła — podeszła i zaburzyła; zrazu zlekka. A gdy po chwili ciszy mocniej kolanem stuknęła, drzwi się uchyliły — nie były z wewnątrz zaparte.

Weszła więc do sionki i, omacawszy ścianę, natrafiła drzwi drugie. Zapukała. Skoro nikt się z wewnątrz nie odzywał, pociągnęła za skóbel. Drzwi odskoczyły.

Taki duchnął na nią ze środka ciąg zimny i trupi dech — iż mało nie padła. Włosy jej strach podniósł i dreszcz ją przeszył całą. Czem prędzej popchnęła drzwi — i drugie, wybiegając, zatrzasła za sobą. Nie ustanowiła się w pędzie, aż na drodze.

Odszedłszy już kawał spory, mogła dopiero pomyśleć o tem.

— Kto wie, co tam... Może dom cały wymarł. Abo też tam składają pośniętych na tę zarazę...

Na tę myśl mdlenie ją opadało.

— Pewnie kostnica... Bo cożby insze... Tak na uboczu...

Teraz sobie zbaczyła, że nie zauważyła stodoły, ni obejścia.

— Cmentarz musi być blisko...

Wyszklifa wzrok w tę stronę.

— Istotnie, coś jak drzewa, jak mur...

Ale niepewną była, czy ją wzrok nie bałamuci.

Droga podnosiła się w górę.

— Czy iść dalej?... Pewnie działy się poczynają...

Tu koniec wsi...

Obejrzała się poza siebie na minioną kotlinę... Światła już pogasły. Jedynie na samym krańcu coś migoce. Widać tam, gdzie tych oszalałych nasza.

— Coż teraz? — pytała myśl zrozpaczona.

Uczuła się w takim strasznym opuszczeniu, iż widziało się: o gorsze sieroctwo trudno.

— Ni wrócić, ni iść...

A ta kostnica prześladowała ją — i, że stała przy drodze, którą przeszła, zagradzała myśli o powrocie.

Postanowiła iść naprzód, dokąd już zajdzie. I, poleciwszy się opiece Boskiej, ruszyła...

Podobny dział się wznosił, jaki już była przeszła. Droga była uciążliwa, bo zakosami wiodąca. Mało jej ubywało, choć starała się naspieszać.

Od połowy wzniesienia poczynaly się krzaki, jałowce... Te w ciemności przybierały w oczach nastrachanej, różne postaci: to przyczajonych rysiów, to jakichś kudłatych stworów, to ludzkich wyraźnie cieni...

Ileż strachu przebyła, nim doszła na wierch! Zmówiła modlitwy wszystkie, jakie znała. I te ją tylko śmieliby wśród tej nieznannej postaci.

Dalej droga wiodła po równi prawie przez dzielec bezdrzewny, a potem lasem.

Przestrzeń widniejszą przebyła Salka bez trwogi — otoczona niebem, na północnym skłonie zorzą zażęgniętem, czuła się jakoby od ziemi podwyższoną i Boskiemu poziorowi bliższą. Lecz skoro w las weszła, strach ją na nowo opadł, jakby tu na nią zaczajony czekał. Cóż miała biedna robić? Trza było iść. O powrocie ani gadki.

Poleciła się opiece Boskiej i Aniołowi Stróżowi, którego czuła jakoby w pewnej odległości postępującego i baczącego na każdy jej krok, i szła już bezpieczniejsza dalej. Mimo to nie mogła się oprzeć dreszczowi niepokoju, gdy zasłyszwała szmer jaki po kraju. Wbijała oczy w ciemność, oddech zciszała doznaku i starała się iść wolniej a biec równocześnie. Zmęczenie ją odeszło i głód ustąpił — mocna się czuła tą jedną myślą, by ten las najprędzej skończyć.

Zachodziła w coraz to większy mrok. Gęstwa drzew otaczała ją, jak mury, ze stron obu. Smuga zieleni ciemnej wisiała gdzieś wysoko, na niej gwiazd parę. Przy ich pożroczy droga szarzała ledwo na kilkanaście kroków przed nią, dalej jakby się topiła w mroku albo ucinała. To ją pocieszało, że droga jezdna — wyraźnie znać ślady wozów — musi gdzieś ku siedzibom ludzkim wieść. Trudno miałyby się tu ciągnąć puszcza. O takiej nie słyszała.

I tak darła się przez tę mrakę leśną, jak dusza ku wybawieniu, pchana trwogą, by ją zło jakie nie wstrzymało.

Naraz — prawie była na skrócie — uderzyło jej wzrok światło, wyblaskujące z oddali, z poza drzew.

Pierwszem na ten widok uczuciem była uciecha strwożonego serca.

— Przecież jakaś ludzka dusza...

Myślała zrazu, że ktoś ze światłem idzie. Lecz, gdy zbliżając się, zobaczyła, że to światło jest w lesie, nie na drodze, zastanowiła się w sercu. Dochodząc bliżej, zauważyła, że światło się nie posuwa. Wreszcie pomiarkowała, że to ognisko się pali. I wtedy niepokój ją tem większy obleciał.

— Coż tu ognisko o tym czasie... Ktoby je kładł?

Skoro zbliżyła się tak, że się prawie z niem zrównała, dreszcz strachu ją przeszył. Oto ognisko pali się jasnym płomieniem, jakby dopiero co złożone — a żywej duszy przy niem...

Daremno wybystrzony strachem wzrok posyłała pomiędzy drzewa na przespīgi. Ani cienia istoty żywej, ani szmeru. Jedynie ten płomień żywy...

Co to może być? Co to ognisko tu samo... Skąd się wzięło?... Co ukrywa ten las?

Wolałaby zbójów ujrzeć, niż w takiej niepewności dręczącej ostawać.

W najwyższym lęku postępowała dalej, a błyskawice pytań przeróżnych, przypomnień, słyszanych kiedyś powieści, przelatywały jej przez głowę.

Bogu się duszą całą polecała, Aniołowi Stróżowi swojemu i w męce strwożonego, jak ptak w sidłach, serca, dążyła przez ten las ciemny.

Aż wreszcie światło pomroczone przestrzeni wydo-

było ją z tych tortur. Las się ukończył. Odetchnęła, jakby już była u celu.

Schodziła na dół pełna otuchy i ufania w Opiekę, której doznała.

Niedługo zamajaczyły przed nią w dolinie osiedla, ciemnością owinięte. Jak po dalekiej tułaczce wchodzi się nocą do swojej wsi i widzi się pierwsze domy w mroku — takie bezpieczeństwo uczuła w sercu Salka na widok tych osiedli, w sen i pomrokę zapadłych.

Po gwiazdach uważała, że już północ. Zorza też, brzaskiem sinawym na skłonie nieba odbita, posunęła się znacznie ku wschodowi. Miała nadzieję, że, nim wieś tę minie, już zacznie dzień.

Wkrótce znalazła się między osiedlami.

Cisza panowała tu, jak w opuszczonej przez życie dolinie. Nic prócz kroków własnych i zdyszenia nie dochodziło jej słuchu nastrojonego. Nawet echa psa ni żywostwory jakiej.

Przełęk znowu ją ogarnął. Niedopuszczana na myśl, cisnęła się do serca wieść lodowata: pomórca i ścinała je mrozem. Wbrew woli starała się zobaczyć jakąś oznakę tej wieści, bystro upatrywała po oknach, po obejściach — lecz nic stwierdzającego ten posąd przecucia nie mogła zauważyć. Chałupy stały w milczeniu, jako zwyczajnie gdy ludzie śpią, i wszystko tkwiło w swoim miejscu — nigdzie wywartych drzwi, zao puszczeń, ni zabitych okiennic. To spokoilo dowodem zestrachaną myśl. Czuła jednak jakimiś serca wysłuchami, że tu się coś niedobrze dzieje, że tak zwyczajna

wieś klęską nietknięta, bez dyszeń głośnych nie zasypia. Przemagała to uczucie i szła odważnie dalej.

Prawie była w środku tej wsi, gdy oczom jej prędzej niż słuchowi zjawiała się rzecz dziwna...

Oto zauważyła czerniejącą na drodze żocznej gromadkę ludzi gdzieś zdążających, w kierunku tym, co i ona. Wyszli zapewne przed nią z osiedli kołodrożnych, gdyż nie zauważyła ich przedtem.

Do tej gromadki dołączały się postacie, wysnuwające się jak cienie w milczeniu z bocznych chałup — i cała ta dziwna kompanja zdążała gdzieś, zcisząc kroki, tak, iż prawie jej słyhać nie było.

Salka wobec tej zjawy dziwnej, dziwnego też uczucia doznawała. Nie był to ni strach, ni zalek. Raczej ciekawość trwożna, co ta kompanja oznacza. Przeleciało jej przez myśl, nocnemi strachy zmęczoną, czy to nie dusze raczej niż żywi — lecz wnet myśl tę zabiła.

Wyraźnie, gdy ich dochodziła, zauważyła kształty i obrysy cieliste postaci. Zaś po ruchach wlokących się, zgarbieniach i umęczonych widziała dosyć dowodnie, że nie w złym zamiarze idą.

Postanowiła iść z nimi razem, dokąd pójdą. Przybliżyła się więc ku ostatnim, miała ich rozpytać o drogę, o cel podróży — lecz takie nakażne milczenie panowało w całej grupie, że i ona słowa bała się przegadać.

Po głowie chodziły jej pytania przeróżne:

— Co to za ludzie? Gdzie idą? Czy z pogrzebem?... Nie widać, by nieśli trumnę... Co ta procesja nocna oznacza?

Podobne kompanje widziała tylko na drózkach krzyżowych Kalwarji.

Zajrzała w twarze idących pobok — brzask ledwo znaczny je rysował — twarze to były znędzniałe, zaschłe, ledwo obleczone skórą, a oczy świeciły niezdrowo, jak próchna trumień. Litość i strach zarazem te ofiary nieznaney klęski nawodziły...

Tak postępując w ciszy, minęli kilkanaście osiedli — wieś wnet miała się skończyć. Kompanja wzrosła o sporą gromadę cieni.

Z mroku z poza majaczeń-drzew wyłoniła się wieża kościelna.

Gromada skręciła z drogi uliczką ku kościołowi i, zcisząc jeszcze bardziej kroki, podkrađła się na cmentarz koło-kościelny, obeszła drzwi zamknięte i posunęła się ku ścianie tylnej, gdzie migające przez okno światelko znaczyło wielki ołtarz...

Tu cała kompanja padła pokotem na ziemię — każda postać zaczerniła na trawniku krzyżem..

Padła i Salka za wszystkimi — i wkrótce sen ją, umęczoną, przysiadł. Nie wiedziała jak się straciła.

— — — — —
— — — — —

Wiele dni podobnych męką przebyła jeszcze Salka w swej tułaczce. Łzy wyczerpała doznaku. Głód nauczył się paść sobą. Strach i trwoga powoli zamarły; gorączkowało jeno otrute niemi ciało. Już nawet czucia nie miała na grotty powtarzane widoków klęsk i ludzi.

Spotykała chałupy z pozabijanemi oknami albo pustemi jako oczodoły kościotrupie, które dowodnie wieściły o bezludnem wnętrzu — osiedla pełne lamentów albo okropnej po przejściu moru martwoty — ludzi obłądnych strachem, grozą skamieniałych lub wyjących ku niebu, jak szakale, nad pokosem śmierci — okolice, gdzie krom tej czerwonej ziemi i nieba nad nią stalowego nic nie było widno, jakby zaraza wszystko ścięła i do cna trutem zabójczym spaliła — całe wsie wreszcie napół wymarłe, przed każdym przecho-dniem złąkłe, ostatkiem życia przyczajonego przy ziemi chłodnej dyszące...

Poznała, że nędza nie ma dna, piekło skończenia, a niebo litości.

W tej długiej drodze-męce głód ją najmniej umęczał. Zasilała się korą drzew, liśćmi, korzeniami, kłóskami zboża jako dziw napotykanego, wodą wreszcie...

Nocowywała najczęściej koło kaplic przy schronie modlących się, jak po pierwszym dniu tułaczki, lub w polu pod oczami gwiazd, jako pod dachem w tym to czasie najwięcej jeszcze bezpiecznym.

Aże wreszcie, przemierzywszy słabymi kroki wszertz cały kraj nędzy, stanęła nad wielką wodą-rzeką...

Nadziei wykłuty wzrok posłała na brzeg drugi — i wzrok ten zgasł odrazu na wieki.

Za rzeką-wodą wielką — noc wisiąta.

Szedł od tej nocy wiew zimny z zaciągami zgni-łemi zarazy, jak od zepsutych ciał.

— Oto jest kres mój — pomyślała.

Poczęła iść bezwolnie z biegiem rzeki, i z mroku jej duszy poczęła wstawać zwolna myśl — porada kusząca — która ją już w drodze parokrotnie napastowała w chwilach szczególnie ciężkich.

— Niechże będzie kres — wybawienie...

— Tu mię Bóg przyprowadził — nad tę wodę...

Wpatrzyła się w przewalające się fale — i wydały się jej takie pięciwe, ukojne — w przeciwieństwie do katowskiej ziemi.

Postąpiła nad samo urwisko brzegu i już — już miała się rzucić — gdy ją coś z nagłą wstrzymało za włosy... Przyszła jej w te razy myśl o dziecku...

Cofnęła się z nad brzegu, przelekła, i lzy wrzucenia rzuciły się jej z oczu. W przewinie serca poczęła się modlić, dziękując Aniołowi Stróżowi za ratunek. Wyraźnie bowiem czuła jego dłoń zbawczą na włosach...

Postanowiła mocno, co bądź odtąd przyjdzie, nie dać się skusić złej myśli. Odkąd uczyła nowe życie pod sercem, nie ma już do siebie prawa. Bóg by ją skarał piekłem wiecznym. Bo insze jej prawo dał, kiedy dopuścił ją matką.

— Dopust to boski... Mam-że się Woli najwyższej przeciwieć?

— Ino jakoż, Panie, mamy żyć oboje? — wołała znowu rozpacz. — Oto przyszliśmy nad tę wodę-rzekę przez piekło straszne. A za tą rzeką noc... Pokaż iskrę nadziei...

Daremnie stała, upatrując znaku. Nic się w naturze nie zmieniło.

Zeszła zpowrotem na drogę i szła już dalej spokojnie, ale w przybiciu strasznem bez nijakiego światła przed myślą.

Poczuła teraz cały ciężar nóg obolałych i zgłodniałego ciała. Ledwo się wlokła. Miała dotąd iskrę celu — i ta zagasła.

— Nie ma końca tej nędzy...

W tem dotrapieniu ostatecznym siadła na kamieniu przydrożnym i zasnęła.

Ledwo straciła czuwanie — sen ją na skrzydłach pieściwych przeniósł we świat dziwny...

Widziała ten świat w marzeniach, tak jak teraz na jawie duszy swej, i nie wydaje jej się obcym... Dolina w blaskach słonecznego pyłu, pełna zbóż, barw i kwiecista... Aż po sine w oddali, zatopione w omgłi słonecznej rąbki gór — jeden kwitnący ogród...

— Czy to raj? — pyta się dusza szczęśliwa.

O jakże miło po tych snach-strapieniach w tej dolinie szczęśliwej odpocząć! Jak radośnie z posępnej pustki ugorów wejść w słoneczny ten kraj! Jak ukojenie po trwogach okrutnych znaleźć się w tym jasnym ogrodzie!

Oto radosnemi kroki, niby tańcząc, postępuje ścieżką, która jak wstążka różowa przed nią się rozwija... Po jednej stronie łąn złoty pszenicy, po drugiej łąka kwiecista...

Jako sen przykry, dawno śniony, przypomina sobie z trudem swoje ostatnie przeżycia. Gdzież to może być prawda? Prawdą jest ta ścieżka — ten łąn pszenicy — ta łąka. Prawda jest jasna.

Jedno tylko jako cień poprzez szczęście jej serca przebiega —: pamięć domu... Gdzie Łukasz, bratowa, dzieci? W snach przykrych byli. Gdzież są teraz, że ona sama? Z trudem zbaczuje sobie, że ich gdzieś odeszła... ale gdzie? na jakiej łące?... Bo w tej dolinie pewnie są... Jakżeby ona szczęśliwą być mogła? Ludzi inszych pewnie tu nie ma — cóż ludzie — ale oni być muszą...

Ten cień-kłopot przez szczęście jej przebiega. Mimo to idzie lekko — wszak nie smuci się bardzo — i tanczącym krokiem dąży wprost naprzeciw słońca. Promienie złote, jako grające radość struny, padają pod jej stopy... W pewnej chwili zatrzymuje się, wybiera kąkol i bławat z pszenicy i czyni z ich kolorów wianek, z myślą wdzięczną: złoży Pannie przeczystej w kapliczce...

Lecz oto po paśmie promieni sama Pani przeczysta ku niej schodzi... w takiej postaci, w jakiej słabe podobieństwo gdzieś widziała: we włosach złotych, rozpuszczonych, w sukience białej, w niebieskiej przepasce... Pachność na łąkę z nią spłynęła, jakby pół nieba zeszło... Serce ze szczęścia omdlewa... Kolaną same się kłonią... W oblicze Jej boi się, klęcząca, spojrzeć... Wianek jeno uwity ośmiela się położyć u Jej stóp...

Pani przeczysta urywa w zamian złoty kłos pszenicy — podaje jej — i słowami, których muzyka niewymówiona, pyta: „Czemuś odeszła?“

W te razy obudziła się. Jeszcze czuje pachność niebiańską — jeszcze słyszy melodię słów — czuje nawet

w zaciśniętych palcach kłos pszenicy, który gdzieś się zapodział...

Och czemóż musiała się zbudzić!... Straszny żal przejął jej serce, iż płaczu utamować nie mogła.

Jedną z tego snu pewnośc wyniosła. Iż musi wracać. Jak kamień padły w jej serce słowa dobrotliwe: „Czemuś odeszła?”.

A ten kłos pszenicy rozumiała, jako znak wybawienia z klęski. Poniesie im, choćby przez największy trud, ten znak złoty nadziei...

Poleciła się Pani przeczystej i rozpoczęła powrotną drogę-mękę...



Suplikacje.

W ślad za Salką sunęła z dalekich stron śmierć i zarazę niosąca podmucha — a trupi wiew wyprzedzał ją i gdzie oddechem swym trującym zawiał: bieleły strachem i jak glina kruszyły się serca.

Ale nietylko ludzkie zwięzy truł ten zawiew śmierci...

Gdzie jeno duchło złe powietrze: kwiatom opadały łebki, rośliny wędły strute abo skręcały się w bólu w kształt wąsów grochowiarki, jabłonie i grusze w sadach strząsały w drgnieniach śmiertelnych owoc zarażony młodo, wierzbow i olchom przydrożnym wysypki chore jak chmara gąsienic obsiadały owarzone liście, a na drzewach iglastych, od tej strony skąd powietrze szło, zjawiał się mech i porost szary, iż wyglądały, jak wyrosnięte na wiatrach gdzie u szczytu gór, dziadkowate i wczesnie zgrzybiałe; i nawet trawy po polach, dość liche już, popielily się do reszty, jakby je mróz spalał.

Wszystko, co śmierci podległe — zarówno drzewo, jak roślina, jak i stworzenie chodzące — wędło rażone strachem albo i zgoła co słabsze padało, gdy je uderzył w zawiewie zgniły dech zarazy.

Rzadkiemi wprawdzie smyńcami, niby od burzy

śmiercionośnej oderwane tchnienia, wrzynały się powietrzem te zakosy śmierci.

Jednak dreszcz trwożny przeszedł po wszystkiej ziemi naokół, gdy powietrze zepsute, jak od spalenizny, rozniosło wieści trujące...

Ludzie bali się pytać trwogi swej: co będzie?... Jakie jeszcze groty los dzierży w swej mściwej dłoni?

Trzeci raz ziemia nawróciła się około słońca, jak nieurodzaj rozpoczął te roki straszliwe... Trzy lata okrutnym ciężarem zwały się na lud... Głód przysiadł osłabione, jak stado wilków zajadłych... Choroby spadły na ludzi...

Już — widziało się — cięższych kar ziemia nie udźwignie... A oto z nieznaných stron stokroć groźniejsze się przybliżyła — sunie wprost czarną, nietłosną ścianą...

Wszystko przycichło w trwodze. Ptaki nawet, które jeszcze ćwierkały gdzie niedzie, dodając potuchy zropaczonemu już chłopu swoim upartem: „cierp, cierp!“ — nawet i one pomilkły.

Martwość objęła całą ziemię. W pół lata zeszła na nią jesień. Po ugornych polach, popod laski zgromadzały się stada wron i, zrywając się, hurmą leciały z krakaniem naprzeciw czarnych stron...

I niebo poczęło się zawłóczyć ołowianemi chmurami... Jakoby Bóg na niebiesiech zastaniał oblicze swoje, iżby go nie dobiegły modły i jęki z ziemi...

We wszystkiej naturze występowały powawy czegoś straszliwego: jeśli nie znaki wyraźne zagłady, to zapowiedzi groźne, cięższych, niż dotąd, klęsk...

Ludzie, widząc naokół te przesłańce złowrózbnę, w popłochu myśli trwożnej zwracali się ku niebu — lecz gdy i tam to samo napotykali, mierzwieli w strachu i obłędnie patrzeli w koło, jak skazańcy.

Którzy od chałup swoich odeszli, głodem pchaui i nadzieją jeszcze kałaczącą się po sercach, wracali teraz z pośpiechem, jak ludzie z pól, gdy burza nadciąga.

Chałupy zawierały się przed obcymi, złękłe obawą, by kto, idący od strony poddmuchy, zarazy z sobą nie przyniósł.

Aleć i obcy teraz mało szli, a ze stron, gdzie chmura czarna wisiała, nikt się nie ukazywał — jak z kraju, który wojna załapała i najeźdźca już ustawił granicę.

Trwożna ciekawość nachodziła naród: co tam za tymi słupami? Jakie dzieją się zniszczenia?

I ludzie, mimo strachu, wyciągali na wiatr szyje, jak ptactwo bezskrzydłne, tknięte przecuciem śmierci, pozierające w stronę, skąd słyhać gromy strzałów. Albo, którzy trwożliwsi, zamykali się w izbach z rodzinami i w milczeniu, zapominając głodu, jak snem okrutnym ujęci, przy łopotaniu serc załękłych nadślu-chiwali przez ścianę, czy co w powietrzu nie jęczy.

I tak te chały znędzniały, z przygarbionemi strzechami, koło dróg między drzewami potraczone, albo w polach samotnie i gromadkami czerniejące wyglądały, jak pątnicy, zamierzający gdzieś daleką drogę, w modlitwie, w skrusze do ziemi przypadli, kajający

się, do krzty opłakani i przy ziemi okrutnej sercami ledwo dyszący...

A ponad nimi niebo zawłóczyło się coraz cięższymi chmurami.

A powietrzem Lęk pędził — jako postać najprzerażliwsza ze snów tego lata, o twarzy niewymówionej, o oczach rozwartych strachem, o włosach wiatrom podanych, o rozczapierzonych dłoniach, o szatach grobem cuchnących — i wieścił słowa straszne:

— Na dole, między Lachy, zaraza się rozszerza. Kościoły wszędzie zamykają. Odpusty, jarmarki wzbronione. Przy drogach rozstawione straże. Codzień, co noc ktoś pada. Grabarze jeżdżą z gnojakami i pracują. Sił im nie staje. Na pogórzcu, za Rabą, cała wieś pobita morem...

— — — — —
— — — — —

Kościół drewniany wypełnił się po brzegi zebrany ludem.

Z osiedli bliskich i dalszych, z przysiółków, nawet z chałup samotnic podleśnych naród się zgarnął.

Nikt nie ogłaszał, nie wołał, dzwon nawet hasła nie dawał — a wszyscy, jak jednym przemocnym nakazem tchnięci, zgromadzili się w kościele.

Wśród lasu zwartego ludzi, chwiejącego się, zawiejami okrutnie usłabionego, bielity się na podobieństwo sucharów lub zbutwiałych pni, wyniosłe postacie gazdów od lat tu niewidywanych, na jałowcowych kosturach oparte, o twarzach bielutkich jako gromnice na

trumnach, bez kropli krwi, którą wyssały nędze i czas stuletni.

Wśród ciżby widać też było gęsto młodzież jak nurki w sitowie zaśzytą, i kobiety-trzciny słabe z dziećmi bladymi na rękach, ochraniające je od ścisku całym wysiłkiem ramion.

W chałupach poostali jeno całkiem chorzy, którzy nie zdołali zwlec się z barłogu a i ci łączyli się myślą z zebranymi.

Rozeszła się wieść po osiedlach, że mają zamknąć kościół. Przeto lud zgromadził się jako na górze po odpływie arki — w czas tego potopu klęsk — na ostatnie modły, na ostatnie suplikacje pospólne.

Po ewangelji ksiądz przerwał mszę, zewlókł ornat i obrócił się twarzą na kościół, aby kazanie powiedzieć. Lecz pierwsze zaraz słowa utknęły mu w gardle, biała głowa zatrzęsała się — i łzy rzuciły się z oczu.

Kościół wobec tego niemego kazania ryknął ogromnym płaczem.

Długa chwila uszła, nim zmordowany lud przycichnął. Jeszcze z pod chóru i od babinca szlochanie na kościół szło — wreszcie i to ustało. We łzach, w ciichości, przy jarzeniu świec topiły się serca.

Ksiądz nabożeństwo kończył. Po mszy podjął podany welon, wyjął ze schowku monstrancję złocistą, umieścił w niej Najśw. Sakrament i ustawił ją na ołtarzu. Poczem zeszedł, podpierany przez ministranta,

na najniższy stopień — drżącym, złamanym głosem
zaintonował:

— Święty Boże!

...i padł na stopnie przed krzyżem.

Pochylił się lud, jak las podcięty...

Wichr zwał ciszę —

W chórze zatrzepotał się zraniony ptak,

Piersią padł na klawisze —

Krzyk, od którego serca mra,

Bluzgnięty krwią,

Strzałą posłany do niebiosów —

I na ten znak

Zawył huragan głosów...

„Święty mocny!

Święty a nieśmiertelny!“

Placz we grzmotach...

Jezu! Litości! Jehowo!

Jęk z walących się domów —

W krzyku serc zamiera słowo —

Las rozpacza!

Stęki drzew — pieśń oszalała zgrzytu,

Wyjąca głucho po wykrotach,

Świszcząca po piszczelach złomów —

Jęki — skony —

Zcichanie wichru - skowytu,
 Który po polu się przetacza,
 Aż pada w bruzdę, znużony...

„Zmiłuj się nad nami!...”

I znów huragan w bór uderza...

„Święty Boże! Święty Mocny!”

Łamią się drzewa jak pręty —
 Jak źdźbła chylą się jedle hrube —

Jezu! Płacz dziecka w borze!
 Zabłąkał je strach nocny
 Na pewną zgubę —

Huk się naokół rozszerza,
 Potokiem spada z gór,
 Rośnie, grzmi, potężnieje —
 Nie ujdiesz! — huczy bór,
 Zginiesz! — wołają knieje...

Łyska się — krzyż!
 Serce zabite w wyż!
 Niech w błyskawicy je zobaczy!
 Płacz zginął — huczy las,

Sto zastawionych traczy —
 Wodospady —
 Gdzież miejsce łzom?
 We wieczność z hukiem wpada czas —
 Lić okrutnej zagłady!

„Święty a nieśmiertelny!“

Grom!...

Od wstrząsu ziemia dudni—
 Stapania słyhać olbrzymie —
 Ryk stada żubrów ranionych —
 Huk daleki...

Przeszło. W kadzideł dymie,
 W ołtarzu, w blaskach spłomienionych
 Monstrancja jak słońce się południ...
 O serce, serce człowiecze,
 Gromem zabite na wieki!
 Bór zcichły ulewa siecze —
 Jęk kona — rzezi — płynie dreszczem —
 A drzewa zbite ociekają deszczem...

„Zmiłuj się nad nami!...“

Burza raz trzeci nawraca...

„Święty Boże! Święty Mocny!“

.

Dusza już w bezdeń pada,
 Człowiek się w krzyku zatracą,
 A wstaje rozpacz żywiołów —
 Wyją ku niebu fale wód,
 Wołają zgliszczą popiołów...
 Czy imię Twoje Głód?
 Czy imię Twoje Zagłada?
 Żeś na wołania nasze głuchy...
 Otośmy, brodząc wśród męki,
 Doszli do tej okrutnej toni —
 Czemu nie podasz nam ręki?
 Czemu uchylasz dłoni?...
 Ręka Twa ciężka, jak ołów —
 Biada! Nie ujdziem klęski!
 Lud Twój, jako rój pszczelny
 W czasie dżdżu, zawieruchy —
 O Boże straszny, zwycięski!
 „Święty a nieśmiertelny!“

.

Jęk wycinanych —
 Zgiełk bitwy —
 Tysiąc ranionych koni rży —
 Wypada postać-strach
 O włosach-wężach rozwianych —
 Powietrze krzyczy,
 Ziemia drży

Od Bożych piorunów-biczy...
 Jezu! Męko!
 Krzyk ranionej rybitwy
 Zbłąkanej nad wodami — —
 Jęk ziemi, chłostanej Bożą ręką...

„Zmiłuj się nad nami!...”

Ostatkiem tchu lud dyszy —
 W chórze krzyk. Mgnienie ciszy —
 Coś straszego się stanie...

„Od powietrza, głodu, moru” —

Płacz rykiem przerwał wołanie —
 Buchnęły łez upusty —
 Morze w obłędzie płacze!
 Słowo mrze —
 Już nie wybiega usty...
 Krzyk serc — straszny, wichurny!
 Wszystkie zgarnął rozpacz,
 Przewór przecina — błękit drze —
 Czarne, na niebie rozwieszono chusty —
 I woła, krzyczy w otchłanie —
 Po raz pierwszy i wtórny —
 Słysz!

„Zachowaj nas, Panie!...”

Nikt nie odjęknął z mroku wiecznych cisz —

Przestwór grozą spokojny —
O lęku!

„Od powietrza, głodu, moru i wojny —“

Jak głucho wpadają słowa
W otchłań czarną, bezdenną — —
Nadzieja z wichrem przegnała...
Człowiek podnosi z ziemi
Twarz od rozpaczy senną:
Czyś Ty, o Boże, Skała?
A my mrowce pod stopami Twemi?
Któż nas zachowa?!
Otośmy jako naci
Pod mrozem Twego gniewu —
Złe powietrze nas traci,
Głód ścina —
Prosimy Cię na rany boskie Syna,
Ochroń nas od zawiewu,
Który z północy sunie...
Chcesz lud swój wszystek widzieć w trunie?
Oto stajemy tu przed Tobą głodni —
Obacz krew naszych żył,
Żeli zdrowego koloru —
Czy nie dość głód nas zbił?
Chroń nas od moru!
Jeśliśmy grzeszni, kary godni,
Ulituj naszych dzieci!

Wołamy po raz trzeci

Ostatkiem sił:

„Zachowaj nas, Panie!...”

„Od złej a niespodziewanej śmierci” —

Płacz zmordowany prośby rozpaczniemi

Jęczy przy ziemi —

Ranny pies-tułacz u wrót...

Już to nie lud —

W prochu, w kajaniu jęczy dusza ludu.

Pomocy wzywa... zmiłowania! cudu!

To się znów zrywa,

Jak wypędzona przez ojce niewiasta,

Pędzi odludnem polem,

Gnana bolem,

Z widmami straszniemi gada,

Krwią ślady swych stóp znaczy —

Aż ślepa od rozpaczy

Potyka się na grobie i pada.

A oto przed nią postać olbrzymia wyrasta —

Nieba włosami sięga —

Potęga!

Bóg!

Dusza się wije u jej nóg,

Stopy jej zmywa łzami swemi,

Wreszcie nadziei wzrok

Waży się, korna, podnieść w chmury —

Lecz, jak widok walącej się góry,
 Kamienny mrok —
 Strach przybija ją znowu do ziemi.
 Łzami więc obmywa stóp skałę,
 A serce jej rozpaczą oszalałe
 W prochu się nurza,
 W zamieci...
 Krzyk-konanie!
 Po raz pierwszy, i drugi, i trzeci —
 „Wybaw nas, Panie!“

Płacz przemógł. Zbliża się On — Burza.

.
 „My grzeszni Ciebie, Boga, wołamy —“

Grzmoty...
 Całej ziemi wstrząśnienie.
 Minął czas —
 Spadło kościoła sklepienie —
 Lud ujrzał się na Dolinie Sądu,
 Jako rozchwiany las...
 W serca wstąpiła otucha,
 Jako rozbitkom zjawa ładu.
 Tu się rostrzygnie los —
 W tem miejscu Bóg wysłucha.
 Spotężny głos!

„My grzeszni Ciebie, Boga, wołamy —“

Grzmoty...

Do Ciebie Boże, najwyższej Istoty,
Przyszedł Twój lud...

„Wysłuchaj nas, Panie!“

Błyskanie —

Cud —

W chmurach wyblęsnęła twarz Jehowy...

Lud w proch pokotem padł...

„Przepuść nam, Panie!“

„My grzeszni...“

Jakimi wołać doń słowy?

Strachem pobladła rzesza —

Niemasz wódcy-Mojżesza...

O biada!

W dłoni Jego zagłada!

Nie ulituje się męce...

Do Syna! który siadł po prawicy —

Krzyż ujął w ręce...

„Jezusie przepuść! Jezę, wysłuchaj!

O Jezę! Zmiłuj się nad nami!“

Nie słuca próśb — pogląda z góry chmurnie —
 Miłosierdziu Jego wszak nie ma granicy —
 Wołajmy wtórnice!
 Przebaczycy...

„Jezus, przepuść! Jezus, wysłuchaj!
 O Jezu! Zmiłuj się nad nami!“

Nie słuca wołań — o rozpaczycy!
 Patrz — Matka Jego po lewicy —
 Udajmy się do Matki —
 Ona nasza! Wybłaga swoje dziatki...

„Matko, uproś! Matko, przebłagaj!
 O Matko! Przyczyń się za nami...“

O losie! Oblicza Swego nie rozchmurza —
 A On pośrodku straszny, jako burza,
 We włosie-wichrze —
 Wołajmy po raz trzeci!...

„Matko, uproś! Wszak-eśmy Twoje dzietci —
 O Matko! Przyczyń się za nami...“

Nie słyszycy — biada!
 Serce pęka na ćwierci —

Wołanie coraz cichsze —

Jęk śmierci —

I Dusza martwa w proch pada.

— — — — — — — —
 — — — — — — — —

Ksiądz krzyżem odstał od ziemi — podpierany z obu stron, wyszedł po stopniach do ołtarza — wziął monstrancję złocistą i trzy razy ją w drżących dłoniach nad ludem leżącym podnosił... Potem zamknął Sakrament i odszedł do zakrystji.

Lud się, jak kłosa dłonią zawiewu podejmowane, pomału z ziemi podźwigował i w milczeniu wysypywał się z kościoła.

Wysypał się wnet wszystek — i kościół na długo zamknięto.



Pomór.

Niebo ołowiane zniżyło się ku ziemi. Jak skała ciężka zawisała nad duszami. Stało się widocznem: co ziemia nie pożre, niebo zdusi. Kto jeszcze ostatek nadziei żywił, zagasła w nim, jako wdeptana w muł iskra.

Widziano znak straszliwej nadchodzącej klęski... Nim niebo się zaciągnęło ołowiem, ukazała się po kilkakroć na skłonie nieba północnego krwawo świecąca gwiazda.

Wreszcie, jako już rzecz niechybną, widziano snującą się po polach zmartwiałych — czarną Panią...

Na granicach wsi czuwające warty uciekły albo popadały, przez niewidocznego wroga pobite.

Zaraza miała wolne drogi. Ale gdyby nawet żelazne mury ustawił, nicby to wobec zaraźnego dechu nie płaciło.

Wąskim pasem pomiędzy ziemią zwrożoną a ciężko owisłym niebem duło z północy złe powietrze, i gdzie jego igiełki padły — waliło się żywoistne, jak od miecza.

Otwarty się na oścież wrota Moru. Wypadły na świat wszystkie zaraźne Truty i Martwice, i ścinały w drodze swej obłądnej, co jeszcze życia się trzymało.

Nie było schrony żadnej ni ratunku przed niewidzialnym wrogiem.

Ludzie poczęli snąć skraja. Popłoch padł na żywych jeszcze, a już strachem napoły zabitych — zakładali się w izbach, albo uciekali przed siebie i kryli się w lasach, w niedostępnych turniach, w spodziewaniu, że ich tam zaraza niedoścignie.

Chałupy pozamykano. Nie puszczono nawet najbliższych. Mąż żony się bał, ojciec dzieci. Strach było wyjrzyć za węgiew.

Wszystkie osiedla zaparły dech, iż zdawały się już, jak wyśnięte. Straszna cisza usiadła nad dziedzinami

Wśród tej ciszy śmiertelnej tem przeraźniej wydzie-rało się pijackie holokanie grabarzy. Im gorzałka-przyjaciółka dodawała śmiałości weselnej.

Jeździli na gnojakach w postawach stojących, z hałasem, ze śpiewami, jako ci drużbowie, uzbrojeni niby w kopje — w osęki, i gdzie jeno zaraza przyskrzyneła kogo, tam oni zaraz zjawiali się za nią. Stając zdala, wkręcali osęki w łachy — i na Dział — do dołu!

Gdy się zaraza zmożniła, nie było czasu grobów brać —: do jednego dołu po kilkanaście zmarłych wysypowali — nato wapno, ziemię — i kopiec gotów. Ro-sły w oczach, jakby ziemię drożdżami zaczynał.

Czasem i przed zarazą się zjawiali, albo równo z nią. Naród przeto uważał ich za strasznych zwiastunów; gdzie się ukazali, gdzie się rozległ ich pijany śpiew — drzwi zatrzaskiwały się, jak przed widnem moru — ludzie odskakiwali od okien i w popłochu kryli się w najciemniejszy kąty.

Obcując wciąż ze śmiercią, pijani szalem, gorzałką, nabierali powoli dzikości, podobnie jako te psy od sadyb ludzkich odstryknięte. Zarówno im się stawało życie, czy śmierć — człek żywy, czy uśnięty. Nieraz też i nie czekali — robota nagliła — gdy ino zaraza na kim siadła, brali żywcem. Marł w drodze, abo w dole — na kielo czasu sił mu stało.

Wstrachu powszechnym oni jedni śmierci się nie bali. Gromko rozlegał się po osiedlach ich śpiew:

„He-hej!... ociec Głód,
A Zaraza matka —
Śmierć siostra rodzona —
Gorzałeczka żona...” itd.

Gdy śpiew ten zasłyszano w osiedlu, ze strachu samego niekto zmierał.

A oni śmiali się dziko, śmiechem podobnym do wycia. Wiedzieli, jaki postrach szerzą. I dumnie trzymali się na swoich gnojakach, jako w siodłach wysokich rycerzy-najeźdźcy. Uważali się jakoby za zakon rycerny.

Niebyle kto mógł z nimi się pobracić. Byli między nimi, co przeszli sto mąk, sto strachów, nim do tego zakonu przystali. Jak Łukasz...

Ten najwięcej z nich wszystkich dowodził. Zawdy na pierwszym gnojaku — pierwszy śmierci w oczy... Uznali go też za wodza.

Pił strasznie. Chciał ten żar-wyrzut, który mu przepalał serce, zalać, zatopić gorzałką... Napróžno... Czuł, że zatapia tylko duszę. Ważyłby się na rzeczy, o których dawniej bał się nawet pomyśleć.

— — — — —

Tekla siedziała o zmierzchu na progu, krwią piersi karmiąc zsiniałe od głodu dziecko, gorączka oczu jak próchno w mroku świecąca — gdy przed nią stanął Łukasz.

Krzyknęła na jego widok — i gdyby przed nią zjawił się wróg-najeźdźca, nie zlekłaby się bardziej. Równow z krzykiem porwała się na nogi, wpadła do izby, zatrzęsła drzwi za sobą i założyła je na skóbel.

Łukasz szarpnął za łańcuch raz, drugi.

— Cóżto? Przede mną się zamykasz?...

— Czyś mnie nie poznała? To ja — Łukasz...

— Cóżto, do kroćset... Mam stać przed własnym progiem? Puść zaraz! Słyszysz!

Nic nie odrzekła. Przyczaiła się w mroku izby i w trwodze najwyższej trwała.

A Łukasz piał już we złości:

— Kto śmie mi własny próg zatarasować? Ja tu pan! Mogę chałupę spalić — co chcę, zrobię — i nikt mi nie wzbroni — ni ma prawa. Ja sam ino mam prawo! Kto śmie ponade mnie stawać?!

Trząśł drzwiami i szarpał za łańcuch. Wreszcie szarpnął z całej mocy — drzwi odskoczyły. Rozejrzał się w mroku izby i chwiejnym krokiem posunął się ku Tekli, słaniającej się koło łóżka. Otoczył ją ramieniem...

— Nie puściłaś, a ja i tak się dostał — bełkotał we śmiechu.

Czad duszący gorzałki uderzył na nią, aż się jej w głowie zamąciło.

— Czego chcesz? — spytała w drzeniu.

— Ho! ho! Czego chcesz... To nie łaska?... Przyszędłech w odwiedziny... Nie widzieliśmy się już tak dawno... Tekluś...

Począł ją cisnąć mocniej i silić na łóżko. Wtedy wstręł ponad wszystko takiej mocy jej dodał, że odtrąciła go, iż mało łbem o krawędź nie uderzył.

— To tak... żona? — wybełkotał, rzucił się na nią i począł brać gwałtem.

Broniła się całym wysileniem. Czuła, że słabnie. Wtenczas poczęła go kąsać bez pamięci — stała się jako wilczyca. I przemogła.

Cisnął straszną obelgę i puścił ją z obręczy ramion.

— Popamiętasz ty! Śmierć ci zrobię! — bełkotał we wściekłości.

Lecz czy gorzałka wypita, czy wysilenie walką podcięły go tak, że ledwo na nogach chwiał się. Zatóczył się na odrzwia, mało nie padł. Natrafił próg i wyszedł. Jeszcze z pola leciały jego kłątwy.

A Tekla po wyjściu jego osunęła się na kolana, ledwo zdołając zeprzeć się na krawędzi łóżka, by nie upaść. Krew, w piersiach dyszących ciężko zebrana, rzuciła jej się z ust.

— — — — —

W kotlinie, jako zatoka cicha ode wsi odnożonej, koło drogi mało zjeżdżonej, na brzyzku, pod starym drzewem-jasieniem stała kapliczka, pamiętnika niemająca, poświęcona św. Rozalji.

Przed tą kapliczką stawały nocami gromadki skupione ludzi i zciszonym głosem śpiewały do św. pa-

tronki, pieśń, jaką se lud, do Boga nie śmiejąc już wołać, w tym to czasie sam z własnej rzeczywistości w słowach pospolitych uskładał. Wartości jej nadawało uczucie, z jakim ją śpiewano.

Jako pomykane przez wiatr liście onego jasionia szeleściły w przestrzeń napoły z melodją słowa:

„Rozaljo pustelnico,
Chrystusa ulubienico,
Do Ciebie sie uciekamy,
Ratunku Twego wołamy.

Oto powietrze morduje —
Lud nędzny w zdrowiu szwankuje —
Pożera śmierć nieużyta —
I słowa sie nie dopyta.

Grabarze-wilcy sie snują —
W osiedlach straże wartują —
Nie przystępuj, wara tobie,
Niebezpieczno o tej dobie.

Jeden sie drugiego chroni,
Zdaleka od niego stroni —
Palcem śmierci naznaczeni
W polu giną, opuszczeni.

Nikt nie myśli o pogrzebie,
Li aby uchronił siebie.
Na osęki — i do dołu
Z pohanem zwierzem pospołu...”

Co noc do tych uskładanych jakąś nową przydawano zwrotkę, i pieśń rosła w skargę nieskończoną...

Gromadki natomiast malały z nocą każką. Przy zejściu — oczami rachowali się w trwodze. Nikt nie śmiał pytać o brakujących: kany sie podzieli?

Każdemu szeptał lęk serca, że na drugą noc jego tu może brakować.

Wreszcie nadeszła noc, gdy nikt się przed kapliczką nie pojawił.

— — — — —
— — — — —

Nie było osiedla, gdzieby po kilkakroć grabarze nie nawracali.

Nie ostrzegło się ich przeraźnego najazdu i osiedle Jamrozów.

Naprzód Gabrysia wzięli, zastawszy go poswijanego na piecu w zimnej izbie, już od paru dni skostniałego...

Kto doniósł, niewiadomo. Wieści same powietrzem leciały...

A potem Jantaszka i Danajkę... Zastano ich tak: Jantaszek leżał na progu przed zamkniętymi drzwiami — a w izbie na skrzyni Danajka... Wzięto ich razem.

Łukasz nie był w tej wyprawie. Oddziałów bowiem było kilka.

— — — — —
— — — — —

Oddział grabarzy, którym dowodził Łukasz, przejeżdżając przez las na drodze ze wsi ku podleśnym osiedlom, został zatrzymany niespodzianą zawadą. Konie poczęły parskać, wspinać się, i nie chciały iść

dalej, jakby poczuły wilka w gąszczu. Nic nie płaciły nawoływania, pokrzyki, ani razy-bicze, spadające ze świstem na ich grzbiety.

— Hou! stój, — rozległa się komenda.

Kilku najśmielszych, między nimi Łukasz, zeskoczyło z gnojaków, i udało się w las, by zbadać, co lękiem zatrzymuje konie.

Ledwo schowały ich pnie drzew, gdy rozległ się grozą krzyk Łukasza, jako krakanie ptaka zdziczałego w pustce.

Przypadli co duchu ku niemu — i oto oczom ich przedstawiła się taka objawa:

Na rdzawym mchu i piarze czerwonym leżał napół odkryty trup niewiasty młodej; widać od paru dni śmierć ją ztrupałą odeszła, bo mrowce już dróżki śledcze po twarzy białej rozpoczęły. A na piersiach jej grzebło się dziecko kilkudniowe, słabem miauczeniem dopominając się o pokarm.

W niewieście tej Łukasz rozpoznał Salkę...

— — — — —
— — — — —

Grabarze, ukończywszy na Dziale robotę, powskakiwali na swoje gnojaki i zwrócili się do wódcy-Łukasza:

— Ka mamy jechać?

— Do Jamroza!

Popatrzyli na niego w zdziwieniu.

— Tam nikto nie wzywał... Nima wieści!...

— Ja mam wieść! Do kroćset czortów! Co sie patrzycie, jak woły?... Ruszaj! — krzyknął na pierwszego.

Ten jednak ociągał się.

— Tam nikt nie umarł, chyba...

— Skąd ty wiesz, że nie umarł? Wszystko wymarło! — krzyczał. — Co do nogi! Ojcowie, dzieci, siostra, żona... Jak grzebać, to grzebać! Od tegośmy grabarze. Pijcie!... — podał gorzałkę w koło.

— Na zdrowie!

— Co na zdrowie? Na śmierć wam i mnie! Na zatracenie!...

— Wszystko jedno... No więc ka?

— Do Jamroza!

— ...

— Ruszaj!

I ruszyli ze śpiewem:

„He-hej!... ociec głód,

A zaraza matka...“

Przyjechawszy na osiedle, stanęli.

— Ka mamy iść?

Łukasz wskazał swoją chałupę.

— Tu!...

Popatrzyli na niego.

— Co sie wahacie? Burzcie do drzwi!

— Zamknięte.

— To okno wyrwać!

Nikto się nie kwapił.

— Cóżto? Nie chcecie słuchać? Muszę ja sam?...

Szarpnął za okno — odpadło.

Poprzybliżali się ku niemu. Zajrzał któryś przez otwór do środka.

— Coś koło łóżka na ziemi...

— To ona... Biercie!

— Na łóżku, zdaje się, dziecko...

— Też trup... Biercie!

Pojrzeli na niego, zlekli.

— Coż wam...

— Biercie! powiadam. Ja tu pan!

— Zdaje się, że się ruszyła...

— Nieprawda! Trup! Ja mogę najlepiej wiedzieć!...

Co wy dziś za ceregiele... — Porwał osekę, zamierzył się:

— Bo was tu wszystkich wyzabijam!... Biercie!!

Tomek ruszył się pierwszy.

— Ho, widzisz... Tomuś najposłusznieszy... Dostaniesz za to medal. Jakem twój szwagier! Wierz mi. Jeder uczciwy we wsi grabarz...

Za nim ruszyli inni. Wrazili oknem oseką — i na przód wyciągli Teklę — złożyli ją na gnojak — potem dziecko. Dziecko było skostniałe, lecz matka widać jeszcze żyła... Nie frasowałiby się o to — ale przez wzgląd na Łukasza-towarzysza ociągali się z odjazdem

Nawracać — huknął.

Nim się opatrzyli, wspiał się po węglach ku strzesze i podświecił wiórami... Gonty i mech zajęły się prędko — odbłask padł na osiedle.

Podbiegło paru z osekami.

— Coż wy, Łukasz... rozum stradaliście?

Chcieli osekami przerwać ogień.

— Wara od mojego domu! — krzyczał i, stojąc na węgle, oseką bronił dostępu.

Płomień szedł po dachu w górę.

— Bóg zaczął, a ja kończę... Słysz! Ty! — Wzniósł dłoń uzbrojoną w osękę ku niebu — jesteś tam, czy Cię niema?... Patrz, jak gore dom mój!... Myślisz, że i ja nie zdołam palić, niszczyć, zabijać!... Niech wszystko zгоре! Cały świat! Podpalmy sami! Dobijmy, co jeszcze żyje! Jak klęska, to klęska!... Myślisz, że nie wytrzymam!?

Płomień wystrzelił ponad dach.

— Nawracać!! — huknął powtórnie. Wskoczył na gnojak. — Jazda!

— „He-hej! Gorzałeczka żona“... — rozległo się po osiedlu. I pojechali.

Łuna od płonącego domu oświeciła im drogę na cmentarz.

— Nie trup? mówicie. Wszyscy trupy! — krzyczał Łukasz ze swego gnojaka. — Wszyscy wy trupy! Słyszycie!... I ja trup... Ho! ho!... Słyszycie, jak wrzaska trup!

„He-hej!... Śmierć siostra rodzona,
Gorzałeczka żona“...

— Śpiewajcie! Bo was tą osęką... Psiekrwie wy, grabarze!...

— Coż wy, oszaleliście?

— Cały świat oszalał! Bóg oszalał! Co wy, psy podłe, rozumiecie...

— Jazda — zakrzyknął Tomek.

— He, Tomuś! Wierz mi, tyś jeden grabarz uczciwy...

— Nie zbaczuj głupstwa... Jedź!

— Jedź!! — huknął, jak echo i zawiódł:

„Śmierć siostra rodzona,
Gorzałeczka żona“...

.

— Hou! Stój!

Stanęli na cmentarzu.

Kiedy przywiezionych z gnojaka do dołu wsypali, Tekla miała jeszcze tyle przytomności, że — w grobie już — poprawiła se ręką spodnicę, która się jej z kolan zesunęła.

Sowa i kuropatwy.

Pomór szerzył się, jak poduch wiatru... W najbardziej skryte zachylenia jego ziew trupi dolatał. Wkielczywał w roztoki głębne, wcinał się w las, wciskał się pomiędzy drzewa na polanki ze wszystkich stron gestwią osłonię. Nie miał bezpiecznego schronu przed jego wiewem stary leśnik poza tysiącem ścian hrubych, niekrzesanych jedli.

Wszędy powietrze złe dotarło. Nie było na całej przestrzeni osiedla, ba, chałupy jednej, gdzieby kogoś nie wywieziono, abo ktoś nie leżał martwy; a jeśli zaś gdzie jeszcze człek żywy się dierzył, to dziś-jutro czekał swej niechybnej kolei. Kraj cały był, jak pobojo-wisko, tem rozpaczniejsze, iże bez boju lud ginął — od pocisków niewidzialnego wroga, Moru.

Niebo, jak ołów ciężkie, wisiało tuż nad ziemią — widziałyby się, że przysiedzie, gdyby się na skalnych grzbietach gór nie wspierało... Miłosierdzia w niem próżno upatrywać. Tyleż, by w martwej skale. W całej wiszącej masie ani szczeliny jaśniejszej. Od krańca do krańca jedno szare brusysko — jakoby moc przeol-brzymia morze stopionej rudy z łożyska stumilowego

jako z konwi olbrzymiej wywróciła, i to ścięło się w powietrzu...

A pod niem ziemia w trwodze strasznej, w zastygu przedskonania... Co jeszcze niedomarle do cna, pełzające — pociskami Moru dobijane... Grotem przybite do ziemi, bielmem konających ócz ku niebu jeszcze poziera — i wtedy ciemność je chłonie... Roztwiera się przed widzącymi oczami w momencie skonu niechybna otchłań zatury...

Cisza ponura śmierci roztoczyła czarne skrzydła nad całą tą krainą. Żaden głos nie wrywał się z przysiadłych strachem osiedli. Lud marł nikczemnie, wijąc się w bólu, jak robactwo.

Nawet śpiewów grabarzy już nie słychować było. Jeździli w groźnem milczeniu, drogami od cmentarza i napowrót, niby widma cmentarnych upiorów.

Tem przeraźliwiej rozległ się pewnego razu w tej pustce głuchej krzyk sowy:

— Kuwik! Kuwik! Ho! ho! ho! ho!

Gdzie jeno to wołanie jej, tak zwykłe, dobiegło — lęk grozą serca drętwił, dobijał przestraczem, gdyż wydało się podobnem do ludzkiego krzyku.

Pierwsi usłyszeli ją grabarze. Głos jej wypadł z potoka koło cmentarza. I pierwszy raz od długiego czasu strach ich opadł. (Choć już śmiałość junacką stracili w owym dniu, gdy Łukasz zniknął. Jeszcze Tomek w następstwie starał się dowodzić, ale i ten powoli marniał). Odtąd zaprzestali też swoich holokań. Każdy bał się swego głosu, słysząc w nim dziwnie straszące podobieństwo do wołania sowy.

Ta sowa dziwna, jak klątwa spełniona, trzymała się ich bliskości. Przenosiła się za nimi, dokądkolwiek ujechali, i ledwo mrok spadł na ziemię, rozlegało się jej przeszywające w głuszy:

— Kuwik! Kuwik! Ho! ho! ho! ho!

I aż do świtu ich straszyło. A nie mogli nigdy na oczy jej ujrzeć, choć często wzrok wyostrzony strachem wbijali w ciemność, w stronę, skąd wołanie dołatało. Widywali natomiast niekiedy postać ludzką, wspinającą się na drzewo. I to ich jeszcze bardziej w głowach strachem zajętych mąciło.

Nieraz umyślnie, bez słowa porozumień zbaczali z drogi, koła zataczali duże, aby ją, jeśli drogę ich przeczuwa, zmylić... a gdy przybywali na miejsce, myślą oznaczone — sowa już tu. I to pokilkakroć tak się im zdarzyło. Gdzie zajechali w osiedle, nocą lub z wieczora, sowa ich już wyprzedzała, jak dawniej ich śpiew, i głosiła ich zajazd swoim przeraźliwym wołaniem.

Do obłądu ich to przywodziło. Czuli, że coś poza tą sową się kryje, jakiś mściwy duch, co ich prześladowuje. Nie widzieli rady uwolnić się od tego niepojętego. Powietrzem się niesło na niesłyszalnych skrzydłach, czy ziemię jako ziemny duch przechodziło — dość, że wszędzie było obecne przy nich, jak cisza, jak myśl.

W końcu i ich, grabarzy, dotąd omijanych, zaraza poczęła wybierać. Jeden spadł z gnojaka w drodze — paru odrazu na cmentarzu legło. Ci, którzy trzymali się jeszcze, wyglądali jak cienie dawnych rycerznych grabarzy. Tak ich ta sowa — bo jej przypisowali wszystko zło, co na nich spadło — do ostatniej skóry dotrapiała.

Aż wreszcie doszli tej sowy...

Oto — dziw — rozległo się jej wołanie we dnie. Prawie stali na cmentarzu. Słysząc ją było z potoka. Popatrzyli na siebie — lica im pobieleły, jako to wapno, ze strachu — i jedną myśl zamierzili razem: postanowili dojść, co się w tem nieznanem kryje... choćby na śmierć natrafić...

I ruszyli wraz wszyscy, jak stali, z osękami w dłoniach, w kupie — Tomka ino brak było, gdzieś się stracił.

Nadłużając krok, bez hałasu, pocichu prawie zbliżyli się ku potokowi.

Wołanie wtórnie się rozległo.

Podkradali się cicho, jak myśliwi, by jej nie spłoszyć...

Zadrgały im wszystkim serca, gdy krzyk jej wydarł się z poza drzew, już-tuż blisko...

Powoli odchylili gałęzie — i stanęli w zmiertwieniu, grozą zdjęci. Oto oczom ich przerażonym przedstawiła się rzecz taka:

Nad urwiskiem, nad krawędzią samą, wisiał trup Tomka... a nad nim, skulony, w postaci strasznej — Łukasz-sowa... Kłuł kamykiem jak dziobem w oczy trupa i kuwikał z chichotem:

— Kuwik! Kuwik! Ho! ho! ho! ho!

Rzucili się ku niemu z osękami, lecz ten wczas skoczył z urwiska i wpadł, jak sowa, w gąszcz leśny.

— — — — —
Dużo wody i krwi upłynęło, nim Łukasz stał się sową

Po onem schowaniu żony prosto z cmentarza uciekł w las — a miał widzenie okropne, że Tekla, jako upiór za nim goni...

Pędził przed siebie, co sił — bez kapelusza, który ostawił na grobie, o włosach urosłych strachem, o oczach rozwartych przerażeniem, jako ten zwierz, strzałami bliskimi gnany. Gdy dopadł drzew, nie zatrzymywał się całe, lecz gnał przez gąszcze, wyrwy, wyłomiska, raniąc o ostrza gałęzi ręce, twarz i nogi, aż, wyczerpany ze sił, padł na mchu polanki...

Wtedy rzuciła się na niego ścigająca mara i poczęła go dusić. Bronił się do upadłego, ale nie mógł jej kościstych palców od szyi oderwać. Począł charczeć w zduszeniu i toczyć pianę z ust. Chwila jeszcze, a byłby skonał.

W tej ostatniej już chwili zebrał cały wysięk i wyrwał się z jej trupich dłoni. Pognał, jak zwierz z oklepca wyrwany. Strach rodził w nim zacięcie. Już było — czuł — kroku dalej nie uczyni — padnie... gdy myśl, że upiór znowu go dołapi i temi zimnymi kośćmi pocznie dusić, krzepiła go tak, iż rwał, jak jeleń raniony.

Często przychodziła mu myśl podstępna: pogoń zmylić... Więc zataczał koło duże i przecinał je w poprzek — to nagle skręcał w bok, robił dziwaczne zyg-zaki, wywijania — albo, pędząc co sił, nagle padał w wyrwie jakiej pod zasłoną okapia... Daremnie! Czuł, że się upiór nie daje pomylić i trop w trop za nim biegnie.

W pędzie swym zabiegł w końcu gdzieś aż pod skalny ostrys. Myśl-nadzieja, że dostanie się na wierzch

i marę w dole ostawi... Począł drzeć, co sił, pod górę. Piarg mu się z pod nóg usypywał, kamienie raniły stopy — na nic jednak nie baczył, czepiał się rękoma korzeni, wystających skali, pazurami darł ziemię i spinał się do grani... Wreszcie znalazł się przy wierchu. Z triumfem męki pojrzał na dół — i ujrzał cień mary pod sobą... W najwyższej już rozpaczycy porwał się w bok i skoczył prosto na przepaść. Cud, że tam u stóp tego ostrysa nie został. Zdarł ino skórę ze łbu, gdy się staczał.

Jedna ta chwila wytchnienia, gdy leżał omdłały. Przyszedłszy do pamięci, zerwał się, popędził dalej... I odtąd już nie zaznał spoczynku. Gdy jeno głowę jak ranę płonącą, do mchu zimnego przyłożył — już oddech mary dobiegającej zrywał go i pędził dalej.

Uciekał wciąż — dniami i nocami. Potoki, wyrwy, debrze, młoki, urwiska, przepaście — po dziesięćkroć zgruntował. Nie było miejsca na całym leśnym obszarze, któregooby jego krwawiąca stopa nie zdeptała.

Pod niebem z ołowiu w otoczeniu cmentarza ludzkiego ta puszcza zamartwiała — i w niej jedyny zwierz Łukasz, przez upiora bez przerwy polowany...

Noc, strach jej nie do przetrzymania wypędzał go ku okrajom, na pola bezdrzewne... Tu przebiegał zagony, ugory, tłoki — od kraja do kraja. A w dzień znów przestrzeń strasząca wpędzała go w las.

W tym pościgu zaciekłym jedno pragnienie wytchnienia — choćby chwilki — podszeptęło mu w końcu, iżby na drzewo wylazł.

Wyspinał się czem prędzej na najwyższą jedlę, ku

samemu wierzchołkowi i, aby zmylić pościg, udał głos sowy:

— Kuwik! Kuwik! Ho! ho! ho! ho!

Oczekiwał w najwyższem napięciu — upiór się nie pokazał. Więc udał wołanie raz drugi. I coraz dalej. Upiór się nie pokazywał. Uśmiechnął się do swojej chytrności — i postanowił odtąd udawać sowę.

Na ziemię prawie nie zląził, a gdy zeskakiwał, przebiegał szybko przestrzeń — i znów na drugie drzewo. Tak przenosił się z miejsca na miejsce.

— Sowa nie może siedzieć w jednym miejscu — myślał. — Zarazby się wydał podstęp.

Przez dnie huśtał się we wierzchołkach drzew, spał nawet, a nocami kuwikał. I tak się z tem udawaniem spoił, że po pewnym czasie wydało mu się doznaku, iż jest sową.

Jako sowa, postanowił zbliżyć się ku cmentarzowi, ku osiedlom ludzkim — i kuwikać. Skoro ujrział jadących grabarzy, zaśmiał się w sercu okrutnie, przywitał ich mową swoją, jako sowa — sowy, i odtąd towarzyszył im niezmordowanie, aż wreszcie naszedł Tomka...

— — — — —

Zagrożony przez grabarzy, Łukasz-sowa skrył się w gęstwinę lasu i nie nabliział się ku okrajom. Zre-sztą już nie miał pogo — spełnił swój cel, który, jako sowa miał — widziało mu się — do spełnienia: wykłął Tomkowi oczy... Odtąd też kuwikanie jego nie było takie przerażne — wydawał je z obowiązku.

Oddychnęły nieco osiedla w strachu swym, ode-

tchnęli grabarze prześladowani, nie słysząc groźnego krzyku — mimo, iż niebo ołowiane wisało skałą nad ziemią i pomór nie ulgiwał.

A on, sowa, żył teraz w swoim nocnym świecie, całkiem zapominając o ludzkim kiedyś bytowaniu. Co nie stało w promieniach sowych oczu i sowych nie wielu myśli, to zalewał dzień. Miał też swoje uczucia sowie — sowi strach przede dniem i pragnienie nocy wiecznej, gdzie oczy jego byłyby jako dwie niewidoczne dla wroga latarnie.

I nietylko wewnątrz upodobnił się do sowy. Lica zapadłe, skryte, nos jako hak skrzywiony, ostry, oczy w obwódkach krwawych, włosy zmierwione, na czoło i szyję w zlepionych kosmach spadające, odzież star-gana w strzępy jako odarte pierze — czyniły go podobnym do nocnego rozbójnika-ptaka, który się, pokrławiony, z sideł piekielnych wydobył.

Żył też doznaku po sowiemu. Napadał na drobne ptactwo, wyszukiwał jaj ptasich, to gniazd z pisklętami — ale najczęściej było nocy, w których o głodzie kuwikał.

Z nastaniem mroku ożywiał się, zwyczajnie jako sowa, furgał z gałęzi na gałąź, zlatywał, spinał się po drzewach, to przedsiębrał wędrówki dalekie — a gdy dzień szarzał, zaszywał się w gąszcz, nieruchomiał i patrzył krwawymi miesiącami oczu w ciemność dziennego światła.

Gdy tak w napół śnie-czuwaniu trwał, otoczony mrokiem, zdajały mu się niekiedy przywidy, przypomnienia straszące z niesowiego świata. Wtedy zrywał się

z ludzkim krzykiem: „Kto tu?” i gnał na oślepe przed siebie, tłukąc się o pnie, raniąc ciało o nastawione ostrza odgałęzi.

Długi czas tak bytował w swym nocnym świecie Łukasz-sowa...

Zgasty wreszcie pomału, spaliwszy na węgiel ciało, zmiertwiwszy na proch duszę, krwawe, ognie obłądu. Pozostał w mózgu mrok gniotący, ciężki, jako ten ołów nieba.

Łukasz snuł się teraz po lesie niby widmo czarne. Już, nachodzon myślami ludzkimi, coś niejasnego zamierzał —: wyjść z tego koła zakłętego, dostać się kędyś, ku osiedlom... Lecz nie mógł drogi przybaczyć, ani myśli do czynu jakiegoś zaprząć — ledwo im się zdołał przyjrzeć, odlatywały jako ptaki...

Nieraz w tem błędnem kołowaniu zatrzymywał się przed jakimś drzewem, stał przed niem pół dnia i więcej i starał się coś usilnie przypomnieć... coś bardzo, bardzo ważnego... Nie zbaczywszy, odchodził w większem przygnębieniu i snuł się dalej.

Ponurość przed nim szła i za nim — las posepniał na widok jego postaci — polanka wyraz zmieniała, gdy się na niej ukazał. Wyszędłszy ze zmierzchu lasu na jakieś otwartzsze miejsce, stawał w niezdecydowaniu, dźwigał powoli wzrok ku niebu, jakby jakiejś porady stamtąd patrzył, a widząc, że jednostajna szarość tuż nad głowami drzew wisi, niemal się o nie opiera, cofał się w gęstwienię lasu i błędził w zmierzchu dalej.

Tak to już w trzeciej postaci gruntował Łukasz ten las... Naprzód jako ścigany zwierz leśny, później jako sowa dzika, a teraz jako to widmo... I gdy poprzednie tortury były jako kary piekła, w których czucie ludzkie się traciło, to zasię mękę obecną czuł już duszą zmartwiałą i ciałem jako opałą czyśćca... Przetoku niebu z tęskni mrocznej rany swych oczu podnosił.

Dni, tygodnie płynęły — nie stała się odmiana. Widziało się, że już tak zakrzepnie na wieczność, w kamień obrócona, rozpacz tych gór. Że już wypełni się po brzegi ludem bezdena otchłań zatraty...

Nareszcie — nareszcie — było to koło południa — podniosło się niebo zciężałe z nad ziemi...

Po ziemi przeszedł, jak podmuch orzeźwiający, oddech ulgi...

I Łukasz uczył, jakby mu skrzyżał, gniotąca mózg, podniosła się z ołowiem nieba równocześnie. Stało mu się jaśniej w myślach i przed oczami. Odrazu też opuścił koło, w którym błędził, i poszedł przez las ku krajowi.

Gdy wyszedł z lasu, stanął chwilę, jak oślepiiony. Oto rozdarła się zasłona nieba jako przed miejscem „święte świętych“ — promień słońca-zbawiciela padł mu wprost na krwawe oczy.

Oswoiwszy się ze światłem przestrzeni, ruszył po zagonach rozwidniałych. Wyszedł był bowiem z lasu na Dział.

Szedł jak lunatyk, nie wiedząc, co za siła i gdzie go prowadzi.

Gdy zaszedł za przechylenie, spotkał zaprzęg dziwny —: wóz drabiniasty z trumną i sprzętami, ciągniony przez woły siwe, bez pogońcy...

Był na Groniu gazda w sile swej, bogaty, którego nawet złe roki nie zdołały zubożyć, acz osiedle całe żywił z majątku swego w czasie klęski. Siekierą i własną ręką dorabiał się majątku. Budował domy, stawiał młyny i ustawiał tracze. On to zbudował bez niczyjej pomocy, sam swoją głową i prawicą wieżę na kościele i zarazem dzwonnice, podziw okolicy. Zwano go zato Majstrem z Gronia. Dumny był z tego nazwania i, póki sił, siekiery nie puszczał z dłoni. Aliści, gdy Mór się zbliżył, strach mu siekiere wytrącił z rąk. A kiedy na Groń do jego osiedla doszedł, Majster ostawił dom, dobytek cały, uciekł na wierchy i tam się krył. A że w końcu na wierchu wysokim dopadła go zaraza... Tam go śpiącego znaleźli. Przynieśli go pachółkowie z miłością do domu, włożyli go do trumny — którą sam sobie, nie wierząc przecie, iż w niej kiedy spał będzie, zgotował — wyciągnęli drabiniasty wóz — jego pracę — złożyli trumnę na spód, zasię na nią wszelki sprzęt jego majsterski od hebla do ośnika — zaprzęgli lubione jego siwe woły, sojki — i jeden z pachółków go powiózł. Zarazą tknięty, upadł w drodze — a wołysojki, dziwnym wiedzione rozumem, same gazdę na cmentarz wiozą...

Ten to dziwny zaprzęg spotkał Łukasz, gdy dążył ku cmentarzowi...

Poznał sprzęt Majstra z Gronia, poznał jego siwe sojki-woły... I zobaczył, iż się im z żalu za gazdą siwe śłozy jako tarki toczą...

Wzruszyło się w nim pierwszy raz od dawna obłędem zatrute serce. Ujął wypadłe z martwej dłoni wóznicy powroźne lejoe i pojechał zaprzęgiem na cmentarz.

Gdy zajechał ku pierwszym skrają grobom, wstrzymał woły i, upuściwszy na ziemię powrozy, poszedł wśród gęstego lasu kopców ku stronie, którą dobrze w pamięci swej zarył. Utykając się na grobach, dążył wytrwale naprzód. Postarzał się o lat dziesiątek przez tę chwilę. Zgarbiony, stanął wreszcie nad krwawą mogiłą...

Przywitało go ćwierkanie piskląt.

Przez mgłę oczu dojrzał na grobie świeżym swój kapelusz — w nim okopiste gniazdo kuropatw...

KONIEC.

Antoni Brodzki

